

ECHO ZŁOTORYI

Październik 2023 • nr 10 (196)

Cena: tylko 5 zł

ISSN 1897-4023

Miesięcznik Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej: Pielgrzymka - Świerzawa - Wojcieszów - Zagrodno - Złotoryja



Tracimy słuch, wzrok i powonienie

Nie mamy cierpliwości. Nie mamy czasu na czekanie. Coś nas ciągle gna. Zapełniamy każdą sekundę swojego życia, jakbyśmy bali się, że skończy się za moment, a my nie byliśmy tu czy tam, nie widzieliśmy tego czy tamtego, nie spotkaliśmy się z tym albo tamtym... Świat nas, a my świat bombardujemy tysiącem informacji. Z tego chaosu trudno wyłowić to, co naprawdę ma sens. Wszystko i wszyscy jesteśmy w ruchu jak mrówki w rozgrzebanym mrowisku. Przyzwyczailiśmy się tak do tego braku bezczynności, że nie umiemy nawet zachwycić się widokiem czy rozmawiać z człowiekiem. Bo wciąż nam wszystkiego mało. Stajemy na plaży, w górach, na ulicy nieznanego miasta i zamiast chłonąć to, co w zasięgu wzroku i ręki, patrzymy w ekran telefonu, czy nasi znajomi już „dali lajka” przy wystanym przez nas zdjęciu. Jednocześnie żyjemy w realu i wirtualu. Nie umiemy się skupić na koncercie, w teatrze, w kinie, zanim nie damy światu sygnału, co teraz widzimy, robimy.... Nie zostawiamy sobie chwili na autorefleksję, bo musielibyśmy przez moment zamyślić się, dotrzeć do sedna, wyciszyć, zerwać kontakt z telefonem i zapytać samego siebie: co widzę, co czuję? Lęk przed tym, jaka byłaby odpowiedź, odbiera nam na to chęć. A poza tym nie mamy na to czasu. Nie mamy też czasu i cierpliwości rozmawiać z drugim człowiekiem. Siedzimy obok siebie i równocześnie sprawdzamy wiadomości z kraju i ze świata, czatujemy z innymi znajomymi i kiwamy głową do swojego towarzysza, udając, że rozumiemy, co do nas mówi i na wszelki wypadek dostosowujemy swoją mimikę do jego tonu. Wszystko, co robimy, w konsekwencji jest powierzchowne, płytkie. Wydaje się, że w porównaniu do naszych dziadków mamy życie obfitujące w doznania. Granice poznania świata zostały zniesione i dosłownie, i w przenośni. Tyle rzeczy jest dla nas dostępnych. Podróż na drugi koniec świata nie jest już mrzonką. Tylko co z tego.

Moja babcia tylko raz w życiu była za granicą, a raz nad morzem. Nie miała dostępu do Internetu, a telefonem komórkowym zaczęła posługiwać się pod koniec życia. Ale miała czas. Miała czas dla nas. Rozmawiała, nie tylko mówiła. Widziała, a nie jedynie patrzyła. Była mądra, choć niewykształcona. Chciała się z nią być.

Tak...ale to były inne czasy 😊. To były czasy, kiedy sąsiadka z sąsiadką siadała przy kawie. Wystarczyło postukać w kaloryfer, a jedna z drugą już wiedziały, że to sygnał na sabat, kawę i ploty. Wszystko robiło się wolniej. Smakowało się chwilę. Teraz chwila ociera się o nasz naskórek. Nie wchłania się. Nie czujemy już smaków. Tak jak nie czujemy zapachów w perfumerii, kiedy wachamy któryś z kolei flakonik....

Tracimy słuch, smak i powonienie.

 **Iwona Pawłowska**



Wciąż w podróży

Robb Maciąg – podróżnik, pisarz, animator, znawca kultury Azji oraz propagator uroków Krainy Wygasłych Wulkanów i Pogórza Kaczawskiego. Z wyboru mieszkaniec Starej Kraśnicy.

Wiesz, że umawiamy się na tę rozmowę już od pół roku.

Serio? Tak to minęło?

Najpierw byłeś w rozjazdach po Polsce, potem podróżowałeś po Azji, a jeszcze później wchłonęły Cię festiwale literackie, między innymi „Miedzianka po drodze” – czego Ci bardzo zazdroścę. Ale to dobrze, bo uzbierało się nam więcej wątków do opowiadania, a nie tylko podcasty, o które chciałam Cię zapytać pierwotnie.

Pytaj o wszystko 😊

Zacznijmy od radia, od podcastów, bo to mnie właśnie nakręciło na tę rozmowę. Zrobiłeś wiochę – jak to się mówi. Twój projekt nosi tytuł „Ale wiocha”.

No tak, nagrałem już 16 odcinków z cyklu „Ale wiocha”. Tytuł jest dość kontrowersyjny i ryzykowny. Powiedzenie „ale wiocha” raczej kojarzy się pejoratywnie, ale kto mnie zna, to wie, że mam dość ciężkie, ironiczno-sarkastyczne poczucie humoru. I właśnie ironicznie potraktowałem tytuł podcastów. Ludzie w okolicy podzielili się, jedni mówili, że nikt nie zro-

zumie tej ironii, a inni: ale super pomysł!

Skąd w ogóle pomysł na podcasty?

Idea narodziła się około 2 lata temu. Matką chrzestną „Ale wiochy” jest Aneta Gola z Młyna Wielisław. Ona chciała, abym napisał o ludziach z okolicy, którzy robią różne świetne rzeczy, a nie istnieją w przestrzeni medialnej. Nie ukrywam, że ta motywacja była stricte marketingowa. Ale ja mówię do Anety: „zobacz, dziś już nikt nie czyta, ludzie piszą fajne historie w internecie, ale czy ktoś poza oglądaniem zdjęć, to przyswaja?” Dlatego kupiłem mikrofony, prosty mikser... i zaczął się lockdown. No to musiało wszystko poczekać, bo co będę chodził po domach, jak się wszyscy pozamykali. Czekają, czekają, aż w ubiegłym roku jesienią, kiedy miałem krucho z pracą i dużo czasu, to poszło! A zaraz potem były targi turystyczne, to chciałem promować region, więc nagrałem chyba 8 odcinków.

Jaki był klucz doboru rozmówców?

Pierwszy to był taki: ci ludzie mają coś ciekawego do zaoferowania, mieszkają na wsi, a drugi, że po prostu tych ludzi znam, wiedziałem, że pracują w domu. Na przykład Martyna Durachta, która robi pierniki. Wiedziałem, że jest u siebie, to wsiadłem w samochód i pojechałem w odwiedziny. To akurat był grudzień. Ona z koleżanką lepiły pierniki a ja podsuwałem im mikrofon. Podobnie było z Marcinem Kucharskim z Sokołowca, to u niego chyba uczyłem się nagrywania.

Oczywiście, Kaczawska Sieć była pierwsza, bo ja tych ludzi znam. Ale na 16 odcinków jest kilka takich, w których rozmawiam z ludźmi, którzy po prostu mnie zafascynowali tym, co robią, jak na przykład Ania z Chatki Zimorodka czy świetny fotograf - Mikołaj Gospodarek.

Pomaga fakt, że znasz ludzi, z którymi nagrywasz podcasty?

Z jednej strony tak, bo mam większą śmiałość się wprosić na rozmowę, z drugiej przeszkadza. Sama chyba wiesz, że jak kogoś znasz, to nie pytasz o oczywiste dla ciebie sprawy. A to one mogą być interesujące dla słuchaczy.

Najcięższe rozmowy to?

Najgorszym do zrobienia odcinkiem była rozmowa z Julką Kramarz z Browaru pod Gruszą. Może dlatego, że świetnie się tam bawiliśmy, chichraliśmy się jak dzieci, a dla słuchacza niekoniecznie jest to fajne.

Coś Cię zaskoczyło podczas tego projektu?

Tak, najbardziej rozmowa z Piotrkim Sarulem od agatów. Okazało się, że chodziliśmy do tej samej szkoły w Lubinie. Uczyli nas ci sami nauczyciele, więc przy okazji mieliśmy co wspominać.

Powiedz mi, w czym według Ciebie tkwi fenomen Kaczawskich, a konkretnie ludzi, którzy na tym terenie wykazują taką aktywność?

Ja zawsze tłumaczę moim znajomym z Polski, że w odróżnieniu od Bieszczadów, gdzie ludzie, jeśli tam przybywali, to po to, by rzucić wszystko i znaleźć spokój, to na teren Pogórza i Gór Kaczawskich przyjeżdżają ci, którzy przywożą ze sobą pomysł na aktywność. Tu się tyle rzeczy dzieje. Oczywiście nie tylko za sprawą tych, co się osiedlili niedawno, ale również miejscowych. Tu są ludzie, którzy coś kreują, na przykład mają pomysł na robenie przetworów, na rzemieślnicze wina i piwa. O właśnie muszę niedługo się wybrać do Jerzmanic, bo słyszałem o tamtejszej winnicy...

Wracając do samej pracy nad podcastami, to wyjaśnij mi, jak nauczyłeś się tak profesjonalnie robić audycje radiowe?

Słuchałem swoich kolegów radiowców. Jeden z moich znajomych jest świetnym i nagradzonym podcasterem i to do niego dzwoniłem z pytaniami typu: jak czyścisz szumy?

Lepiej pisać czy robić audycje?

Nagrania mnie kręcą, bo wchodzi się do ludzi. Tyle że moi rozmówcy bardziej się spinają podczas nagrań. Jak pisałem książkę o Dobkowie, to miałem sposób na rozmówców, były tam takie panie emerytki, którym rozwiązywały się języki, gdy siadaliśmy przy winie 😊.

Jaki zasięg ma „Ale wiocha”?

Oj nie pamiętam teraz, ale na początku to było jakieś szaleństwo. Pewnie na spotify i na youtube można sprawdzić, ale najważniejszym dowodem na zasięgi są sytuacje, że do moich rozmówców przyjeżdżają ludzie z Polski np. na warsztaty, bo usłyszeli o nich w moim podcaście.

Nie myślałeś o nawiązaniu współpracy z radiem?

Myślałem, ale wtedy musiałbym być bardziej sumienny, systematyczny.

No tak, a Ty ciągle nie masz czasu ☹️.

Tak, przerwałem nagrywanie podcastów, bo sobie wyjechałem na pięćdziesiątkę do Azji.

Taki prezent na urodziny?

Też. Wydałem na to całą zaliczkę za nową książkę, która właśnie niedługo wyjdzie

No dobrze, czyli dostałeś zaliczkę i powiedziałeś: „teraz spełniam marzenie” i pojechałeś do Azji. Znowu? Nie znudziło Ci się to?

Nie, wróciłem w Himalaje. Byłem tam już kiedyś razem z Anią, gdy odbywaliśmy 16 lat temu podróż rowerem. Chciałem na

pięćdziesiątkę zrobić takie wyzwanie kondycyjne, czy jeszcze dam radę. Pojechałem między Pakistan a Chiny do Krainy Wysokich Przełęczy (tam przełęcze mają po 5 tys. metrów). Akurat tak się złożyło, że Hindusi wyasfaltowali najwyższą położoną drogę na świecie - 5880 m n.p.m. No i chciałem sobie pomasażować ego, więc wymyśliłem, że tam wjadę rowerem, bo w Polsce jeszcze nikt tego nie zrobił. No ale okazało się w tzw. międzyczasie, że mnie nie wpuszczą na tę przełęcz, bo jest zamknięta dla cudzoziemców, ale jak już postanowiłem, że jadę w Himalaje, to pojechałem. Za to udało mi się wjechać na inną przełęcz, na 5440 m.

Było ciężko?

Było bardzo ciężko. Nigdy tak fizycznie ciężko nie było. Najgorzej było z wydolnością. Startowałem z około 3 tys. metrów, a po trzech dniach wjeżdżałem na ponad 5 tys. to organizm nie zdążył się dostosować i zbuntował się.

Jakie przewyższenia robiłeś w ciągu dnia?

Drugiego dnia jazdy rowerem na 30 kilometrach miałem 1070 metrów do góry. No i na 4900 m. już nie miałem siły. Jak siedziałem na rowerze i pedałowałem, to jeszcze jakoś szło, ale jak musiałem się zatrzymać, żeby coś zjeść a potem podnieść rower i wsiąść na niego, to mnie przerastało.

Sam byłeś w tej podróży?

I tak i nie.

Wybrałem się razem z żony bratem, ale jemu się rower zepsuł i pierwsze 6 dni w trasie byłem sam, ale tam jeździ dużo ludzi. Wyobraź sobie, że Hindusi teraz o wiele częściej jeżdżą rekreacyjnie na rowerach niż kiedyś. Wreszcie sami doceniają uroki swojego kraju. Jak byliśmy z Anią 16 lat temu, to trudno było kupić jakąś część do roweru w Indiach, teraz nie ma z tym żadnego problemu.

W razie czego mogłeś liczyć na czyjąś pomoc?

Tak. I było tak raz. W połowie przejazdu przez Himalaje miałem poważny kryzys. Sine palce, sine usta – typowe niedotlenienie. Było źle, nie miałem siły wjechać na przełęcz. I jak tak sobie siedziałem pod kocem aluminiowym, sypał śnieg, było mi niedobrze, to zatrzymywali się Hindusi i proponowali cukierka, pytali, czy pomóc. Po pół godzinie zatrzymaliśmy ciężarówkę. Wrzuciliśmy rowery i kierowca nas podwiózł z 30 km przez tę przełęcz i jeszcze kawałek potem w dół.

Nie zadawałeś sobie wtedy pytania: po co ja to robię?

Nie, w życiu. Poza tym nie było takiej sytuacji, że nie wiedziałbym, co z tym wszyst-

kim zrobić. Nawet jak przyszedł ten poważny kryzys, to wiedziałem, że wystarczy zjechać 600 metrów w dół, najeść się i od razu wrócę do pełni sił.

Udowodniłeś sobie coś?

Że jestem stary i głupi ☺. A tak na poważnie, to nie, bo ja już niczego nie muszę sobie udowadniać.

Ja po prostu uwielbiam jeździć na rowerze. Mam coś takiego, że gdy wsiadam na rower, ale też jak idę w góry, to wszystko zostaje za mną, wszystkie problemy i sprawy: praca, rodzina... To jak gdzieś przeczytałem – dynamiczna medytacja.

Wracasz jeszcze w Himalaje? Na 60. 70.?

No przecież muszę wjechać na tę przełęcz, na którą teraz nie wjechałem. Ale nie mam planów, kiedy.

Masz jeszcze jakieś punkty do odhaczenia?

Całe mnóstwo. Teraz byliśmy w Szwecji na wakacjach z rodziną i to było super. Byliśmy nawet w Bullerbyn. Są tam trzy zagrody, mieszkają w nich ludzie, więc nie można wchodzić, asfaltówka, duży parking a na końcu drogi kafejka-sklep-muzeum, gdzie można poczuć klimat powieści Lindgren.

Ale wracając do pytania: jak byliśmy w Szwecji, uznałem, że muszę tam jeszcze wrócić. Zobaczyć coś, czego jeszcze nie widziałem. Bo jak zwiedzam świat, to się w to bardzo angażuję. Wiem, że mi się nie uda być w każdym kraju na świecie, to wolę pojechać np. trzeci raz do Szwecji. Kiedyś wybierałem Azję, teraz Europę. Nie ciągnie mnie wszędzie, chętnie pojechałbym do Finlandii, nie byłem jeszcze w Norwegii. Nie mam z tym problemu, że nigdy nie pojedę do Kamerunu, ale do Szwecji pojechałbym trzeci raz, bo już wiem, jak tam jest. To jest wielki kraj. Kupiłem już sobie kilka książek i pogłębię wiedzę. Jestem ciekawy świata.

Rozumiem, że nie interesuje Cię takie naskórkowe, powierzchowne oglądanie świata, a wchodzenie pod podszewkę ☺.

Tak, coś w tym jest. Dlatego na przykład w Iranie byłem dziesięć razy, a jest jeszcze tyle miejsc, których tam nie widziałem, że ojeju... Jeszcze dużo przede mną.

Dlatego, gdy pracuję z młodzieżą, to mam taki kompleks eksperta. Wiem, że gdy nawet półtorej godziny im o czymś opowiadam, to będę jak oszust, który nie sprzedał wszystkiego, co powinien. Ale wiem, że się nie da. Był taki moment, że miałem wyrzuty sumienia, że tyle im jeszcze nie powiedziałem. Powoli się tego oduczam.

Wiesz, że lepiej wyczerpać temat niż słuchacza? ☺

No tak, ale w tym mi przeszkadza mój temperament. Dygresjami i ciekawostkami mógłbym zrobić dwutygodniową konferencję ☺

No tak, ale od tego jest pisanie.

Tak. Dlatego piszę ręcznie, powoli, spokojnie, nie rozprasza mnie światło komputera. Przy łóżku leży kartka i długopis, bo jak mi coś się przypomni, to chociaż hasła notuję. Jestem pod tym względem bardzo manualny. Teraz, jak kończyłem książkę, to musiałem sobie wszystkie rozdziały poukładać, więc rozpisałem tytuły tych rozdziałów na kartkach i kartki porozkładałem na dywanie a potem komponowałem układ treści. Na ekranie komputera tego nie widzę. Potem to skleiłem taśmą, przepisałem w wordzie i wysłałem do redaktorki.

No i teraz czekamy na nową publikację. Zdradzisz, o czym będzie?

Książka na razie jest u ilustratora. O tematyce i treści mówić nie mogę, bo obowiązuje mnie tajemnica ☺.

To w takim razie czekam na jej premierę z większą niecierpliwością ☺

Z Robbem Maciągiem rozmawiała Iwona Pawłowska



Pospolite imię, pospolite nazwisko - niezwykły człowiek

Dnia 28 września pożegnaliśmy Bogdana Zajęca. Wybitnego sportowca, trzykrotnego mistrza świata w akrobatyce sportowej, cenionego artystę w jednej z największych produkcji na świecie Cirque du Soleil, założyciela fundacji „OCELOT”, dyplomowanego lekarza, Ordynatora Oddziału Rehabilitacji w Żłotorzy.

Tak opisuje Go Leszek Antonowicz, trzykrotny mistrz świata w kat. czwórek męskich, wieloletni przyjaciel z zespołu, członek słynnej złotej czwórki, do której należał również Bogdan.

„Aktywny, dynamiczny człowiek, pełen różnych pomysłów i planów na przyszłość. Odszedł tak jak żył - aktywnie.

Mówiąc w stylu Romana Gorzkowskiego - „Najlepszy lekarz wśród akrobatów i najlepszy akrobata wśród lekarzy”

Był (to słowo w trudem przechodzi przez gardło) chłopcem z nad Kaczawy. Mieszkał niedaleko mostu przy ulicy Kolejowej.

W piątej klasie szkoły podstawowej rozpo-

czął swoją przygodę z akrobatyką.

Pamiętam scenę z naszego pierwszego wyjazdu sportowego, gdzie przebywaliśmy na obozie z harcerzami. Mieliśmy pokazy na ognisku harcerskim. Podobały się druhom, a po serii skoków akrobatycznych w wykonaniu Bogdana wzniesli okrzyk: „ale skale ska- ale skacze jak zajac”.

I ten jego śmiech. Śmiał się często - głośno i zaraźliwie. Na obozie w Świeradowie Zdroju przygotowaliśmy się do Ogólnopolskiej Spartakiady Młodzieży. Wszyscy chłopcy mieszkali w jednym dużym pomieszczeniu, a dziewczęta w drugim, obok.

Oczywiście Bogdan swoim zwyczajem się śmiał, a dziewczęta z pokoju obok też. Później dopytywały się, kto tak się śmieje.

Był niesłuchanie pracowity. Bardzo przydało się to podczas studiów medycznych. Nie znam przypadku (poza Bogdanem), aby zawodnik takiej klasy był jednocześnie studentem medycyny.

Poradził sobie nawet podczas naszego wyjazdu do USA, który trwał ponad dwa mie-

siące. Profesorowie Akademii Medycznej, znając jego pilność, zgodzili się na wyjazd. A on zabrał ze sobą walizkę książek i w każdej wolnej chwili się uczył. Zdał każdy egzamin.

Nazywaliśmy go „Kosiba”. Tak nazywał się bohater polskiego filmu pod tytułem „Znachor”.

Uznaliśmy, że od znachora do doktora nie daleko.

Świetnie nam się współpracowało, a przyjaźń rozpoczęła przygodą sportową przetrwała całe życie. I nie wierze w to, że nie ma ludzi niezastąpionych”

Na temat Bogdana Zajęca wypowiedział się również Paweł Horbach, brązowy medalista Mistrzostw Świata, oraz wicemistrz Europy w czwórkach, trener Fundacji „OCELOT”.

„W wieku 7 lat zacząłem swoją przygodę z akrobatyką w Żłotorzy. Trafiłem pod skrzydła dwóch trenerów ze słynnej złotej czwórki tj. Leszka Antonowicza, oraz Wojtka Świecika. W międzyczasie do Polski ze Stanów Zjednoczonych, a konkretnie z Las Vegas, przyleciał i odwiedził nas na naszej sali akrobatycznej Bogdan Zajęca. Wszyscy mieliśmy okazję poznać trzeciego ze złotej czwórki. Opowieści Bogdana o wielkim świecie artystycznym robiły duże wrażenie na nas wszystkich, co bardzo motywowało nas do cięższej pracy. Jego doświadczenia i sukcesy budziły w nas chęć stawiania sobie wyższych celów.

W myślach zapisał mi się moment, kiedy po pobycie na Hawajach Bogdan odwiedził nas na naszej sali. Jego krótki komentarz „co tutaj tak zimno” uświadomił nam, jak wielki jest świat i jak wielkie mamy możliwości nawet pochodząc z tak małego miasteczka jak Żłotorzyja. Początek lat 90. nie kojarzył się nikomu ze swobodą podróżowania poza granice Polski.

Mój pierwszy zagraniczny kontrakt podpisałem dzięki Bogdanowi, który utwierdził moją wiarę w siebie i we własne możliwości. To stało się dowodem na to, że marzenia, które sam wzbudził można realizować. Bogdan zawsze był dla mnie inspiracją i potwierdzeniem, że pasja może stać się sposobem na życie.

Fundacja „Ocelot”, którą stworzył, zajmuje się nie tylko kształceniem umiejętności akrobatycznych, lecz również rozwojem, umocnieniem pewności siebie i podniesieniem poczucia własnej wartości.

Słowa Bogdana motywowały nie tylko mnie, ale kilka pokoleń młodych akrobatów w całej Polsce.

Dzielił się swoim doświadczeniem i umiejętnościami czerpiąc radość i satysfakcję z



Jestem ciekawy, ile łącznie godzin przegadaliśmy z trenerem w drodze na występy. Mimo tego, że za każdym razem część historii się powtarzała, bo chyba trener nie do końca pamiętał o czym już wspominał, to nadal budziły ciekawość. Ponadto, nawet jeżeli myślałem, że znam całą biografię trenera na pamięć to i tak potrafił zaskoczyć czymś nowym, co tylko potwierdzało jak ciekawą był osobą. Dostyc zabawną umiejętnością trenera, którą wspominam z uśmiechem, było zapadanie w sen gdziekolwiek i w jakiegokolwiek pozycji. Niesamowite było to, jak bardzo potrafił się skupić na tym co robi, na tym co chciał w danej chwili osiągnąć. Nauka na egzaminy podczas oczekiwań na próbę lub występ również nie była dla niego problemem. Był po prostu mistrzem koncentracji. Chciał być mistrzem we wszystkim co robił.

Mimo tego, tak jak wcześniej wspominałem, krył się w nim prosty człowiek kochający swoich bliskich, sport, naukę, wypoczynek w ciepłych krajach, swoje psy, muzykę Franka Sinatry i pizzę Quattro Formaggi z Tutti Santi (restauracji w Lubinie). Takim człowiekiem był dla mnie trener Bogdan, był dla mnie jak drugi ojciec i cieszę się, że mogłem poznać tak wartościowego człowieka w swoim życiu.”

„Wielu z nas miało ogromne szczęście spotkać Bogdana na swojej drodze. Bogdan był pasjonatem nie tylko akrobatyki, ale życia. Nie lubił marnować czasu. Zachęcał nie tylko do tego, by robić więcej i lepiej, ale przede wszystkim tego, aby być kimś więcej.” Grzegorz Roś brązowy medalista Mistrzostw Świata, oraz wicemistrz Europy w czwórkach, były artysta grupy „OCELOT”

Bogdana Zajęca brakuje nie tylko rodzinie przyjaciółom, ale także pacjentom, którym służył swoją opieką.

„Wspaniały człowiek i lekarz [...]” „[...] Ogromna strata[...]” „Wielki żal i smutek odszedł wielki i skromny człowiek i przyjaciel umiał realizować marzenia i зараżać innych pozytywną energią [...]” „Wielka niepowetowana szkoda i żal w sercu”

Takie, i wiele podobnych komentarzy dotyczących Bogdana Zajęca możemy przeczytać pod postem na facebooku Szpitala Powiatowego w Złotoryi informującym o Jego odejściu.

Podsumowując zacytuję słowa Markusa Zusaka „Prawdziwymi przyjaciółmi są ci, którzy nigdy nie opuszczają naszego serca, nawet jeśli na chwilę znikną z naszego życia. Po latach rozłąki bez trudu na nowo podejmujemy przerwana znajomość. Nawet jeśli umrą, w naszych sercach na zawsze pozostają żywi”.

Opracowała Zuzanna Horbach
LO Złotoryja

suksesów swoich podopiecznych.

Jego upór i determinacja będą dla mnie zawsze wzorem do naśladowania.”

Jeden z podopiecznych Fundacji „OCELOT”, Mariusz Nguyen, bardzo utalentowany artysta, który poświęcił wiele czasu na kształcenie swoich umiejętności pod okiem Bogdana Zajęca. Finalista programu „Mam Talent”, mistrz Polski Seniorów w dwójkach męskich.

„Osobiście uważam, że nie ma słów, które by dokładnie opisały to, jak wielkim autorytetem w moim życiu jest Bogdan Zajęca. Dla mnie na zawsze będzie to po prostu trener Bogdan, z którym po raz pierwszy miałem styczność będąc 8-letnim chłopcem. Kto by wtedy pomyślał, że ten starszy Pan prowadzący mój pierwszy trening akrobatyki odegra tak niesamowicie istotną rolę w moim życiu. Przez te 12 lat, zdążyłem „trochę” poznać trenera i stwierdzam, że za 3-krotnym mistrzem świata, ordynatorem szpitala, solistą Cirque du Soleil, członkiem legendarnej złotoryjskiej czwórki i wieloma innymi tytułami, stoi ambitny, bardzo uparty i przy tym wszystkim prosty człowiek, który chciał spełnić marzenia. Cały czas stawiał sobie kolejne wyzwania, mimo tego, że już tyle w życiu osiągnął. Kochał to czym się zajmował i chciał зараżać innych swoją miłością do akrobatyki artystycznej, co oczywiście mu się udawało. To on pokazał mi świat, w którym dobrze i pewnie się czuję. Zapoczątkował niezwykłą przygodę. Ukierunkował moje życie, dał mi pasję i marzenia. Z resztą nie tylko mi, bo jestem przekonany, że wiele pokoleń akrobatów powie o nim to samo.



XIX Dzień Regionalisty

Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej wznowiło w tym roku, po przerwie pandemicznej, organizację **Powiatowego Dnia Regionalisty**. Ostatni raz odbył się on w czerwcu 2019 roku, w Świerzawie. Teraz zaprosiliśmy do współpracy Szkołę Podstawową nr 3 im. Henryka Brodatego w Złoto-

ry. Udział wzięło 9 szkół z powiatu: Szkoła Podstawowa im. Marii Konopnickiej w Złotoryi, Szkoła Podstawowa im. Jana Pawła II w Pielgrzymce, Liceum Ogólnokształcące im. Jana Pawła II w Złotoryi, Szkoła Podstawowa w Rokitnicy, dwa Zespoły Szkolno-Przedszkolne: z Zagrodna i Świerzawy,



Szkoła Podstawowa im. Wł. Puchalskiego, Szkoła Podstawowa im. Jana Brzechwy w Nowym Kościele oraz współorganizator, czyli SP3. Mimo dużej rozpiętości wieku uczestników, nie było przeszkód w zespołowej rywalizacji, przy pracy nad przygotowanymi zadaniami. Pan Damian Komada przygotował karty pracy z historii, do których wypełnienia bazą były teksty źródłowe o Wilczej Górze, a panie Paulina Chaim i Karolina Mikołajczak opracowały zadania z geografii i przyrody. Całość działań koordynowała pani Wioleta Michalczyk. W konkursie plastycznym uczniowie mieli za zadanie wykonać plakat ze znalezionych na miejscu naturalnych materiałów. Do wykonania zadań należało przejść całą trasę turystyczną i zapoznać się z treścią tablic informacyjnych. W konkursie wiedzy stosunkowo łatwo było wybrać zwycięzców, ponieważ oprócz poprawności wypowiedzi, wzięto pod uwagę czas oddania kart pracy. Za to twórcy prac plastycznych zaskoczyli komisję swoją kreatywnością, dobrze się przy tym bawiąc. Wybór był bardzo trudny. Każda drużyna otrzymała pakiet z materiałami promocyjnymi, a laureaci konkursów dodatkowo sprzęt sportowy. Cała impreza przebiegła w pięknym otoczeniu przyrody i miłej atmosferze oraz, pomimo zapowiedzi opadów, przy ładnej pogodzie. Nie zapomniano również o czymś dla cia-



ła. Uczestnicy zostali poczęstowani pysznymi ciastami i galaretkami przygotowanymi przez klasę 8 z SP3 oraz ciepłym daniem z firmy AnVilla. Patronat nad Dniem Regionalisty objęli: Starosta Powiatu Złotoryjskiego Wiesław Świerczyński, Wójt Gminy Złotoryja Jan Tymczyszyn i Burmistrz Miasta Złotoryja Robert Pawłowski. Zapraszamy za rok na jubileuszowy 20. Dzień Regionalisty, jeszcze nie znamy jego miejsca, ale spróbujemy znaleźć coś równie ciekawego, jak to tegoroczne.

Wioleta Michalczyk



Kaczawskie tajemnice

Transkrypcja wywiadu z Joanną Lamparską, autorką książek i programów o historii i tajemnicach Dolnego Śląska, wyemitowanego na antenie Radio Zamek Nadaje w audycji Wrzące Wulkany 23 września 2023 r.

Katarzyna Iwińska: Audycja Wrzące Wulkany, dzisiaj jesteśmy we Wrocławiu, w towarzystwie najlepszym z możliwych na Dolnym Śląsku – z pisarką, pogromczynią tajemnic Dolnego Śląska, badaczką historii - Joanną Lamparską.

Joanna Lamparska: Dzień dobry.

K.I.: Porozmawiamy o skarbach Krainy Wygasłych Wulkanów. Kilkakrotnie na antenie naszej audycji - wracaliśmy do tzw. historii skarbowych naszej Krainy, min. do depozytu Hansa Franka w Sichowie, teraz doszła nam niedokończona fabryka Lem w Bolkowiu. O czym jeszcze powinnyśmy powiedzieć słuchaczom, jeśli chodzi o skarby, depozyty z naszej Krainy?

J.L.: Oczywiście o Nowym Kościele, czyli skarbach z czasów II wojny światowej, o Herbercie Klose, który został po wojnie na Dolnym Śląsku, w Sędziszowej w okolicach Wielistawki i miał pilnować słynnego złota Wrocławia, ale także o samej górze Wielistawka, która pocięta jest podziemiami, szybami – oczywiście o pewnej piwnicy w pobliskim młynie, która się pod nią znajduje i nie została przebadana.

K.I.: Herbert Klose to faktycznie strażnik IV Rzeczy, Werwolfu czy złota Wrocławia?

Czy to zwyczajnie legenda stworzona wokół autochtona, który po wojnie pozostał w Polsce?

J.L.: Nie nazywałabym tego legendą, ponieważ Herbert Klose był postacią realną, człowiekiem, który - jak wiemy - był bardzo silnie związany z reżimem nazistow-

skim i który przez ten fakt bardzo pasował służbom, jako symbol ukrywania skarbów. Jednocześnie przez swoją zawziętą i niejasną przeszłość mógł być swego rodzaju wytrychem do pozyskiwania informacji.

Należy pamiętać, że zaraz po wojnie na Ziemiach Obiecanych nastąpił czas, kiedy trzeba było ludźmi wstrząsnąć. Z jednej strony był to sposób na ugruntowanie nowej władzy komunistycznej, z drugiej zaś forma "zachęty" dla ludzi, żeby przekazywali różne informacje min. o ukrytym majątku. Wyobraźcie sobie - jest 1945 rok, wchodzi Armia Czerwona, ale ciągle mieszkają tu rdzenni mieszkańcy - Niemcy. Mamy więc dwie skrajne siły. W tym skomplikowanym układzie ludzi i wydarzeń pojawiają się polscy osadnicy, z polską władzą. Ja to nazywam trójwładzą. Wielu Niemców nie chce odchodzić, wielu z nich chce dbać o swoje interesy. Armia Czerwona jako jest, każdy wie - idzie jak wielki taran niszcząc wszystko, co jest po drodze. Jednocześnie jest też pierwsza, polska władza, która tworzy na terenach ziem odzyskanych Komisję ds. Nadużyć Gospodarczych, której celem jest właśnie lokalizacja mienia, wręcz konfiskata tak, aby nic nie dostało się w niepowołane ręce, szczególnie, że z Armią Czerwoną przemieszczały się tzw. „trofeijnycje otriady”, które grabiły w imię kosztów wojny. Wystarczy, że ktoś sprzedaje polniemieckie spodnie na targu i może za to pójść siedzieć, więc wspomniana Komisja jest wszechobecna, ma wielką władzę. Jest oczywiście Urząd Bezpieczeństwa, z którym Komisja współpracuje – jest i milicja.

I w tej bardzo skomplikowanej sytuacji mamy jeszcze trochę Niemców, mamy Herberta Klose, który ma niejasną, dziwną przeszłość, o którym się mówi, że „coś więcej wie”. I tutaj mamy kilka teorii, bo różni autorzy różnie na to patrzą. Kiedy spojry-

my na dokumentację znajdującą się w Instytucie Pamięci Narodowej, to widać wyraźnie, że Klose ma wokół siebie wielu informatorów, jest obserwowany. Jego obserwatorzy przyjmują różne, bardzo dziwne pseudonimy. W tych donosach jest napisane, że odpowiadają go różni ludzie (są to m.in. Amerykanie), że Klosego bije żona, czyli to trochę nam odbiera możliwość mówienia o nim, jako o takim ubermensch'u. Natomiast Klose ładnie tańczy, ludzie go lubią, jednak pewnego dnia zaczynają się nim interesować właśnie funkcjonariusze UB. I nagle oni przepytując go dowiadują się bardzo dziwnych historii. Na przykład, że Klose w komendzie policji we Wrocławiu miał być świadkiem przygotowania do ukrycia złota, które w tej komendzie miało być zdeponowane. Całkiem niedawno byłam w naszej komendzie policji, specjalnie odwiedziłam piwnice, żeby zobaczyć, czy rzeczywiście coś tam można było składować. Depozyt był możliwy, natomiast nie były to tony złota, o których mówił Herbert Klose. Banki działały do końca wojny, nie było takiej potrzeby, żeby to mityczne złoto ukrywać. I to tyle złota, o którym mówi się w przypadku tzw. „Złota Wrocławia” - do tego w centrum miasta, które było prawie już okrążone przez Armię Czerwoną. Klose opowiada, że mieli ukrywać to złoto w różnych miejscach razem z oficerem o nazwisku Ollenhauer. Na bazie zeznań Klosego powstaje słynny film „Kim jesteś kapitanie?”. I właśnie na tym filmie wyraźnie widać, że pytania zadawane są w taki sposób, żeby pokazać „złego Niemca”, potwora, który został tutaj i wszystko wie o skarbach.

K.I.: Rozumiem, że Klose dobrze grał swoją rolę?

J.L.: Tak, grał niemal doskonale. Nie wiemy, czy UB narzuciło mu tę narrację, szantażując go w jakiś sposób, czy to był rodzaj współpracy. Z pewnością Klose był w SS, z pewnością miał niejasną przeszłość, natomiast my nic więcej na ten temat nie wiemy, chociaż jego życiorys został bardzo dokładnie przejrany. Jedną z osób, która przesłuchiwała Klosego był późniejszy major kontrwywiadu, funkcjonariusz Służby Bezpieczeństwa, Stanisław Siorek. Problem polegał na tym, że major Siorek nie znał niemieckiego, oczywiście panowie mogli rozmawiać przez tłumacza, ale to nie to samo.

Ostatecznie Klose zostaje w Polsce, pod Wielistawką. Jest inwigilowany przez różnych ludzi, ale finalnie okazuje się, że nie ma za bardzo co z niego, mówiąc koloquialnie „wycisnąć”. Legenda mówi nawet, że dom miał tak usytuowany, żeby patrzeć na złoto, które ukrył w Wielistawce. Myślę, że to są bardzo fajne, barwne opowieści. Klose dożył w okolicach Świerawy swoich dni. Został pochowany - to jest bardzo ciekawe - pod innym imieniem. A z nami zo-

stała jego barwna legenda.

Co więcej, gdyby było w Wielistawce faktycznie coś ukryte, to wystarczająco dobrze, żeby tego nie pilnować i nie trzeba było nikogo zostawiać.

Prawda jest taka, że ludzie ukrywali różne bardzo zwyczajne rzeczy, które dziś bardzo często są definiowane jako mityczne złoto. Kiedy przegląda się akta dotyczące kradzieży na tych terenach w latach 1945-46, to co ludzie kradną? Majtki, futra, bieliznę, skórki - to jest to „złoto”. Nie złoto, a proste rzeczy potrzebne do codziennego życia. Warto wspomnieć chociażby prof. Grundmanna, konserwatora prowincji dolnośląskiej, który zebrał zabytki ze zbiorów prywatnych oraz skradzione przez III Rzeszę w trakcie trwającej wojny, a następnie rozsyłał do specjalnie stworzonych przez siebie magazynów. Prywatni kolekcjonerzy z dalszych rejonów Rzeszy przysyłali konserwatorowi swoje kolekcje, żeby je ocalić, przykładem jest chociażby Zagórze Śląskie. I właśnie te fakty stworzyły legendę. Inną historią jest natomiast Werwolf.

K.I.: Wspomniałaś Werwolf – czy mam rozumieć, że działał w okolicy dzisiejszej Krainy Wygasłych Wulkanów?

J.L.: Tak, oczywiście. Pisze o tym profesor Krzysztof Klementowski z wrocławskiego IPN-u. Również w okolicach Lwówka Śląskiego. Pytanie, czym jest Werwolf? Mężczyźni często najwycyzejniej ubrani, mieszkający gdzieś po wsiach, mający magazyny broni. Grupy dywersyjne w dzisiejszej Krainie Wygasłych Wulkanów działają. Prowadzą nie tylko coś na kształt walki ale muszą do kogoś wejść, wziąć jedzenie, dostać coś, to jest codzienność.

Katarzyna Sielicka: Czy jako kontrgrupę z naszej strony w stosunku do Werwolfu można traktować Czarnego Janka i jego ludzi?

J.L.: Czarny Janek jest postacią bardzo skomplikowaną. Lubimy jego historię upraszczać, a jest naprawdę wielowymiarowa.

Czarny Janek jest żołnierzem AK, żołnierzem niepokornym. Przyjeżdża na ziemie odzyskane, w zasadzie ucieka, ponieważ zdaje się, że uderzył jakiegoś oficera AK. Zaraz po wojnie na zachodzie Polski mamy mnóstwo żołnierzy, którzy na nowych ziemiach zwyczajnie się ukrywają, tutaj przede wszystkim trudno ich znaleźć, zidentyfikować. Przez ziemie odzyskane przechodzi mnóstwo ludzi, to prawdziwy „dziki zachód”.

Zresztą żołnierzem AK był pierwszy polski leśniczy w Sobótce, który brał udział w słynnej akcji, podczas której Polacy wywozili fragmenty rakiety V2 do Wielkiej Brytanii. To byli wielcy żołnierze.

Natomiast wracając do Czarnego Janka - rzeczywiście gromadzi pewną grupę ludzi,

którzy - tak myślę - będąc w tych trudnych warunkach zaczynają, nie wiem jak to nazwać, tak trochę dziczyć. Przy okazji badania sprawy Czarnego Janka poznałam człowieka, który za Czarnego Janka poszedł siedzieć. Był to funkcjonariusz ówczesnej milicji, który zobaczył Czarnego Janka wychodzącego ze sklepu. Mimo, iż Jan Bogdziewicz jest poszukiwany, ów milicjant nie strzela, nie podejmuje próby zastrzelenia poszukiwanego. Właśnie za brak należytej reakcji trafia do więzienia.

Przy okazji sprawy Bogdziewicza rozmawiałam z panią z waszych okolic, która pamiętała Czarnego Janka. Mówiła, że Czarny Janek przychodził z kolegami w nocy, pili wódkę, miał tu dużo dzieci i ksiądz je wszystkim chrzczył. „Bo wie pani, to były takie czasy, że człowiek nie wiedział do kogo się przytulić”. Bardzo dobrze te słowa zapamiętałam. Próbowałam nawet wyobrazić sobie tamtą rzeczywistość – z jednej strony nowa władza komunistyczna, z drugiej Rosjanie, a na to wszystko różnie nastawieni do polskich osadników Niemcy – w tym nowym i skomplikowanym wymiarze we wsi pojawia się żołnierz AK, Polak, ciągle żywa legenda świeżo zakończonej wojny i utraconego z nią świata prawdziwej przedwojennej Polski. Absolutnie nie bronię Bogdziewicza, ale powtórzę to były bardzo skomplikowane czasy.

K.I.: Spotkałyśmy się też z opinią, zresztą przy okazji zaginionego Portretu młodzieńca Rafaela Santi, że w okolicach Stanisławowa, w sztolni Bogdziewicz coś ukrył?

J.L.: Tak się mówiło, że Czarny Janek obrał bank, jakąś kasę spółdzielczą. Gdzieś swoje tupy musiał ukrywać, ale czy to był wielki skarb Czarnego Janka, którego wszyscy szukają i który chcielibyśmy widzieć? Pewnie mieli swoje magazyny, to jest oczywiste, gdzieś musieli chować broń, amunicję. Ale czy skarby...

K.S.: Historie o ukrytych na Dolnym Śląsku skarbach są opisane w Twojej książce „Ostatni świadek”?

J. L. Tak, to jest trochę moje rozliczenie z tymi tematami. Chciałam pokazać w „Ostatnim świadku”, że podobne historie się zdarzały i często miały niesamowity przebieg i że przede wszystkim warto te historie badać.

W największej tajemnicy powiem Wam, że jeden z moich kolegów trafił na nieprawdopodobny dokument, bardzo rzadki, bardzo ciekawy. Więcej nie mogę powiedzieć. Jest w nim informacja o ukryciu pewnego sarkofagu. Miejsce zostało już znalezione...

I.W. Nie jest to Kraina Wygasłych Wulkanów?

J.L.: Prawie! I tu nie chodzi o takie ukrycie wojenne - jest XIX w., właściciel każe zakopać tajemniczy sarkofag - czekajcie na fi-

nał.

A teraz to ja mam do Was pytanie - dla mnie niesamowitą tajemnicą Krainy Wygasłych Wulkanów jest pewien dom w Lubiechowej, całkiem zwyczajny, ponury, a w środku wielki kościół ewangelicki. Kiedyś tam zajął, nie udało mi się wejść.

To dopiero tajemnicze miejsce i mam nadzieję, że kiedyś zrobicie o tym program Wrzące Wulkany.

K.S.: Zrobimy o tym program, może nawet coś więcej, a może uda się zorganizować zwiedzanie.

K.I.: Zatem pytanie na koniec - czy możemy spodziewać się, że słynny Portret Młodzieńca – symbol strat II Wojny Światowej, który zaginął gdzieś między Sichowem a Morawą w końcu się odnajdzie?

J.L.: Obraz nie zaginął między Sichowem, a Morawą, jeżeli wierzyć hrabinie Melicie Sallai, dotarł do Morawy. Świadczy o tym opowieść pani Melity Sallai, która jako mała dziewczynka widziała przywiezione skrzynie, prawdopodobnie z Sichowa, w których był obraz Dama z Gronostajem. W kolekcji Czarotoryskich były trzy słynne obrazy, w tym Portret Młodzieńca i Dama z Gronostajem, zakłada się, że one podróżowały razem. Wszyscy pytali, dlaczego pani Melita zapamiętała akurat „Damę z gronostajem”? Wątpliwości rozwiązała opowiadając, że „tatuś używał takich zwierzątek na polowaniach”. Jest taka teoria, że burmistrz Strzegomia dostał obraz w depozyt. Niedawno usłyszałam, że „Portret Młodzieńca” powróci do Polski, ale nic więcej na ten moment nie mogę powiedzieć. Ten obraz jest ikoną naszych polskich strat wojennych. Podobno mają w tym roku jeszcze wrócić dwa obrazy, które zaginęły w Kamieńcu Żąbkowickim.

K.S.: Joanno czekamy zatem na Twoją najnowszą książkę, która ukaże się 25 października, ale już teraz można ją nabyć w przedsprzedaży. Czekamy na spotkanie autorskie w Krainie Wygasłych Wulkanów?

J.L.: Tak, to książka pt. „Lekarze od zabiłania. Medyczna gwardia Hitlera”. Książka trudna, ale myślę, że przede wszystkim ważna, ponieważ jeszcze nikt nie prześledził życia tych ludzi, od początku do końca. Dla Dolnego Śląska, istotne jest to, że ci wszyscy najwięksi - opisani przeze mnie w książce - bandyci spotykają się właśnie tutaj pod koniec wojny. Dlatego spotkania poświęcone mojej najnowszej książce są dla mnie bardzo ważne.

K.I.; K.S.: Zatem dziękujemy i do zobaczenia.

J.L.: Do zobaczenia.

Katarzyna Iwińska
Katarzyna Sielicka



Jubileuszowy XXV Rajd Jadwizański

Już po raz 25 Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej i Wójt Gminy Złotoryja zaprosili mieszkańców powiatu złotoryjskiego na doroczny Rajd Jadwizański. Frekwencja dopisała i 6 października o 9.00 w Kościele św. Jadwigi zebrało się około 170 uczestników rajdu. Oprócz 124 uczniów szkół podstawowych i średnich z nauczycielami, z zaproszenia na rajd skorzystała grupa Aktywni 50+ z trenerem, a także - na specjalne zaproszenie Pana Alfreda Michlera - seniorzy, w tym Henrykowie i Jadwigi. Zebranych przywitani: Prezes TMZZ Kazimiera Tuchowska oraz o. Bogdan Koczor, Proboszcz



wsze „skuteczne”, bo wszyscy bez szwanku dotarli na zamkowe wzgórze. Trasa tegorocznego Rajdu była nieco inna niż zwykle. Po spotkaniu przy pierwszym kamieniu, podzieleni na grupy uczestnicy odwiedzili cmentarz komunalny. Zatrzymali się przy kilku ważnych miejscach: kościele św. Mikołaja, Kaplicy Pojednania, Obelisku Ludzkiego Przemijania i grobie powstańca warszawskiego - Ryszarda Królikowskiego. Tam czekali na nich członkowie TMZZ i przekazali informacje o oglądanych obiektach. Od drugiego kamienia trasa rajdu prowadziła tradycyjnym szlakiem. Pod przewodnictwem Pani Małgorzaty Szczśniak - niezawodnej Komandor Rajdu - piechurzy dotarli około południa do Rokitnicy. Na Wzgórzu Zamkowym czekały przygotowane ognisko i kiełbaski. Odbyło się także bardzo ważne wydarzenie - mianowanie kasztelana zamku w Rokitnicy. Aktu mianowania dokonali: Wójt Gminy Złotoryja Jan Tymczyszyn, Sekretarz Miasta Złotoryja Andrzej Ostrowski i przedstawicielka Nadleśnictwa Złotoryja Elżbieta Dudek. Nowo mianowany Kasztelan Bogustaw Cetera opowiedział krótko o zamierzeniach ratowania pozostałej ściany szczytowej kaplicy zamkowej. Przedsięwzięcia tego podjęmie się powstała niedawno fundacja celowa. Zarząd TMZZ pragnie podzięko-



Parafii p.w. Jadwigi. O. Bogdan skierował, jak co roku, do uczestników Rajdu wspomnienie o patronce kościoła i szlaku, którym powędrują Przed wyjściem na trasę, po wspólnej modlitwie otrzymaliśmy błogosławieństwo, jak za-

wać wszystkim osobom i instytucjom zaangażowanym w organizację jubileuszowego rajdu. Szczególne podziękowania należą się sponsorom: Panu Zbigniewowi Skowronowi, który po raz kolejny sponorsował kiełbaski dla uczestników oraz Wójtowi Gminy Złotoryja, gdyż urząd gminy poniósł pozostałe koszty rajdu. Jak corocznie, nie zawiedli pracownicy Szkoły Podstawowej w Rokitnicy, przygotowując ognisko. Dziękujemy Pani Komandor i wszystkim opiekunom grup rajdowych. Do zobaczenia za rok.

 Maria Leśna



Karkonosze z wątkiem kryminalnym

Spotkanie autorskie ze **Sławkiem Gortychem** odbyło się 27 września 2023 roku w Pielgrzymce, w tamtejszym nowiułkim Centrum Kultury i Biblioteki im. Zenona Bernackiego. Autor promował swoje dwie książki: **Schronisko, które przestało istnieć** oraz **Schronisko, które przetrwało**. Oba tomy stanowią części trylogii, trzeci tom jest w przygotowaniu. Książki Sławka Gortycha zaliczane są do kryminałów, jednak miłośnicy gór uważają, że są one opowieściami o Karkonoszach z wątkiem kryminalnym.

Sławek Gortych pochodzi z Bolesławca, ma dwadzieścia kilka lat, a wszak to już skończony dentysta! Nawet zdążył ukończyć staż podyplomowy w zawodzie. Jednak uważa, że „łatwiej jest napisać książkę, a nawet dwie, niż wyleczyć kanałowo szóstkę”. Na spotkaniu stwierdził, że jeden z najbardziej wzruszających dni w jego życiu był wtedy, gdy zobaczył swoją pierwszą książkę – w d r u k o w a n ą . I dobrze, bo

można mieć nadzieję, że swoją przyszłość zwiąże z pisaniem, aby nadal przysparzać wzruszeń i niezwykłych przeżyć swoim czytelnikom.

Inspirację do twórczości Sławek Gortych czerpie z wędrówek po górach, które to góry są nie tylko tłem opowieści, ale – może przede wszystkim – bohaterami i świadkami wydarzeń, które opisuje. Pisarz od najmłodszych lat zgłębia sekrety Karkonoszy, związane z nimi legendy i historie, aż stał się istną kopalnią wiedzy w tej dziedzinie. Gdy na początku spotkania w Pielgrzymce opowiadał o schronisku księżca Henryka (nieodbudowane po pożarze w latach czterdziestych), wszyscy zamienili się w słuch, nie chcąc uronić choćby jednego słowa. W sali zrobiło się cicho jak ma-



kiem zasiał, nikt nie zakaszał, nie poruszył się nawet, tak autor przykuwał uwagę swoim pięknym językiem i łatwością snucia opowieści.

W drugim tomie trylogii – **Schronisko, które przetrwało** – autor ponownie zabiera nas na karkonoskie szlaki, gdzie razem z nim i z bohaterami książki przeżywamy kolejną przygodę. Znajdujemy tu różnorodność górskich krajobrazów w promieniach słońca i w gęstej mgłę, niebezpieczeństwa czające się na szlakach; nie brak sensacyjnych scen pełnych strzelanin, pościgów, zwrotów akcji, szantażu. Jest nawet zamach terrorystyczny na pociąg.

Miłośnicy Karkonoszy śmiało mogą podczas czytania posiłkować się mapą turystyczną. Gdy autor prowadzi nas po szlakach, drogach i ścieżkach, bez trudu znajdujemy je na mapie, dzięki czemu lektura książki stanowi jeszcze większą frajdę. A nad wszystkim czuwa Duch Gór, alias Rübészal czy też Karkonosz, który potrafi być popędliwy i okrutny. Niejednego śmiałka, który wyszydził władcę Karkonoszy, spotkała niebezpieczna przygoda, bądź w górach został na zawsze.

W **Schronisku, które przetrwało** widać wielką pasję autora do gór, którą stara się zarazić czytelników, fabuła jest porywająca



i cały czas trzyma w napięciu. Od książki nie można się oderwać aż do ostatniej strony. Poycję pięknie wydano, opatrzone nowymi i archiwalnymi zdjęciami. Trzecia odsłona karkonoskiej historii jest już w przygotowaniu. Autor zdradził, że tym razem bohaterem będzie schronisko Strzecha Akademicka w zimowej scenerii. Książka ma się ukazać na przełomie kwietnia i czerwca 2024 roku. Można przewidywać, że osiągnie nie mniejszy sukces niż dwie poprzednie. W oczekiwaniu na wydanie można sięgnąć jeszcze raz po poprzednie pozycje, aby poczytać co fajniejsze fragmenty. Natomiast kto nie czytał, koniecznie powinien to zrobić. Na pewno będzie zachwycony.

 Agnieszka Młyńczak

 Centrum Kultury i Biblioteka im. Zenona Bernackiego w Pielgrzymce



lantą Choczaj, Moniką Sokołowską i Pawłem Choczajem.

M. S. - Zasady gry w siatkówce na siedząco są zbliżone do tradycyjnej z niewielkimi różnicami. Między innymi boisko jest nieco mniejsze, wolno blokować zagrywkę, można odbijać każdą częścią ciała, natomiast siedzenie należy rozumieć dosłownie i nie wolno odrywać pośladków od parkietu. Twierdzą, że jest to wbrew pozorom gra szybsza niż klasyczna siatkówka. Z tą różnicą, że nie da się zmienić ustawienia zawodników w sposób zaplanowany. Mam na myśli to, że w klasycznej grze zawodnicy zajmują swoje pozycje tylko w momencie zagrywki, chwilę potem wszystko się zmienia w zależności od potrzeb. Na siedząco biegać się nie da, stąd zawodnicy są bardziej przywiązani do swoich pozycji. Jednakże przemieszczanie nie jest niemożliwe, co udowadniają zawodnicy z kadry narodowej. Ale to jest już poziom niemal profesjonalny. Zawodnicy ci biorą udział w zgrupowaniach i obozach. Grają w mistrzostwach Polski, Europy i Świata. Trzeba też wiedzieć, że są oni jak w każdej kadrze selekcyjni, czyli są to najlepsi z najlepszych. W siatkówce na siedząco jest wymóg, aby w sześcioposobowej drużynie grały co najmniej cztery osoby niepełnosprawne ruchowo. To ważne rozgraniczenie, bo w naszej drużynie grają również niepełnosprawni, ale oni traktowani są jak pełnosprawni. Wynika z tego, że dwóch z sześciu zawodników może być w pełni sprawnych. W tej sytuacji przeprowadzając zmiany mogę zmienić zawodnika niepełnosprawnego na niepełnosprawnego, lub sprawnego na sprawnego. Jeśli niespełniony byłby ten warunek i na boisku byłoby tylko trzech niepełnosprawnych, mecz kwalifikowany jest jako walkower. Siatkówka na siedząco nie jest sportem wyłącznie męskim, lub żeńskim i drużyny mogą w składzie mieć zarówno mężczyzn jak i kobiety. Przynajmniej tak jest w rozgrywkach krajowych. W zawodach rangi mistrzostw Europy, czy świata drużyny są już podzielone na męskie i żeńskie. W naszej lidze kobiety są reprezentowane w każdej drużynie. Wynika to z tego, że grających kobiet jest po prostu mniej niż mężczyzn. Niestety obserwuję coraz mniej chętnych do uprawiania sportu, niepełnosprawnych dotyczy to również. Kilka lat temu mieliśmy kadrę kobiet na wysokim poziomie, ale z czasem drużyna się rozpadła. Od czterech lat współuczestniczymy w budowaniu kadry na nowo. Z zawodniczek występujących na co dzień w ośmiu drużynach składamy jedną pełną i jest to automatycznie kadra narodowa. Czyli te 11 dziewcząt bez selekcji ma możliwość gry w kadrze. Mistrzostwa rozgrywane są na turniejach. W tym sezonie mamy już jeden turniej za sobą, a za tydzień jedziemy na kolejny do Polic.

P. Ch. - Pomysł stworzenia drużyny wziął się stąd, że dawno temu będąc na meczu Gwardii Wrocław dane mi było zobaczyć mecz siatkówki na siedząco. Stąd w ogóle dowie-

działem się, że coś takiego istnieje. Kiedy już to wiedziałem, a było to 16 lat temu, postanowiłem do turnieju, który organizujemy już od bardzo dawna, włączyć rozgrywki i zorganizować turniej integracyjny. Polegało to na zachowaniu trzech jedności: czasu, miejsca i akcji. Czyli rozegrać zawody w jednym czasie i w jednym miejscu. Spotkały się zespoły grające w siatkówkę i siatkówkę na siedząco. Aby stworzyć drużynę potrzebni byli zawodnicy i tych po prostu trzeba było znaleźć. Nawiązałem kontakt z Witoldem Żuryńskim z Jeleniej Góry i Bożydarem Abadźjiewem z Wrocławia. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności w następnym roku (2008) Polsce przyznano organizację mistrzostw Europy. Wówczas funkcjonowała drużyna męska, ale nie było grających dziewcząt. Na tym turnieju zaczęto tę drużynę budować.

M. S. - Trudno jest niestety znaleźć w ogóle osoby niepełnosprawne. Na naszym terenie, i nie chodzi wyłącznie o Złotoryję, ale także o Legnicę, czy Bolesławiec pytamy o takie osoby. Paradoksalnie takich osób nie jest mało, ale niekoniecznie chcą być sportowcami.

P. Ch. - Niestety obecnie aktywności fizyczne generalnie są w odwrocie. Zwłaszcza jeśli chodzi o sporty drużynowe i sporty techniczne takie jak siatkówka, gdzie najpierw trzeba nauczyć się grać. Niepełnosprawni mają jeszcze do przełamania jedną barierę. Pamiętam jak jednego z zawodników zapytano co się dzieje z człowiekiem, który nagle traci nogi. Odpowiedział, że po czymś takim można się albo zapisać na śmierć, albo zacząć żyć od nowa. Owszem część takich osób, zaczyna żyć od nowa, ale wymaga to olbrzymiego samozaparcia, siły woli i chęci. Błędem byłoby sądzić, że tak po prostu siada się na boisko, zaczyna grać i wszystko jest dobrze. Za tym zawsze stoi ciężka praca.

M. S. - Od trzech lat, trenujemy dwa razy w tygodniu na sali w Wilkowie. Zdarza się, że spotykamy się częściej przy okazji spotkań sparingowych, tak jak w przyszłą sobotę i niedzielę mamy zaproszenie do Wrocławia. W treningach uczestniczą trenerzy, wolontariusze i oczywiście zawodnicy. Wyglądają one identycznie jak w klasycznej siatkówce. Musimy ćwiczyć wszystkie elementy, bloki, ataki, czy poruszanie się po boisku.

Mnie oprócz trenowania zdarza się grać. Kiedyś nawet grałam jako zawodniczka w turnieju. Nasi niedoświadczeni zawodnicy pojechali na mistrzostwa Polski głuchych i musiałam ich zastąpić. Choć przyznam, że nie jest to łatwe, bo nigdy nie wiem co mam zrobić z nogami. Paradoksalnie osoby bez nóg, na parkiecie są bardziej mobilne niż zdrowe.

P. Ch. - Jesteśmy małą wioską. Nasz sąsiad mówi wioską Galów, a to dlatego, że z takiej małej miejscowości potrafimy wykreować drużynę, która bije się z tymi z dużych miast. To oczywiście, że większe środowisko i większa populacja daje większe możliwości choćby wyboru zawodników. Nabór do takiej sek-

cji jest łatwiejszy, jak i do wszystkich innych aktywności. U nas zaczęło się od turniejów. Raz w roku przyjeżdżali do nas ludzie z Polski i niektórzy z nich postanowili, że tutaj zostaną. Od takich pojedynczych osób zaczęliśmy, a skoro znalazła się jedna, potem druga, to w pewnym momencie pojawił się pomysł, żebyśmy na kolejnym turnieju w następnym roku wystawili swoją drużynę. Po raz pierwszy udało się to w roku 2019. Jak już się to dokonało, to stwierdziliśmy, że spróbujemy już nie okazjonalnie funkcjonować, ale uruchomimy sekcję. Ogłosiliśmy nabór. Dołączyło do nas kilka tutejszych osób, niektórzy byli przez chwilę i szybko zrezygnowali. Inni zostali, jeszcze inni dojeżdżają. Jak dotąd udaje się składać potrzebny na mecze turniejowe i wyjazdy utrzymać opierając się głównie na mieszkańcach Wilkowa i Złotoryi oraz kilku osobach dojeżdżających z innych miejscowości. Robimy wszystko, aby ten klub w wiosce Galów trwał. Kiedy stało się jasne, że chcemy mieć drużynę, było dla nas jasne, że nie chcemy zakładać kolejnego klubu bo już mamy dwa, którymi wraz z żoną się opiekujemy. W Wilkowie znaleźliśmy przyjazną lokalizację na sali gimnastycznej, która na potrzeby takiego sportu jak siatkówka na siedząco jest idealna. Wynika to z faktu, że jest nie za duża. Można na niej spokojnie grać a nie trzeba się za piłką nabiegać. Kiedy grają osoby pełnosprawne to



o siadkarkach i siadkarzach z małej galicyjskiej wioski

W rozgrywanych niedawno mistrzostwach Europy polscy zawodnicy byli o włos od medalu. To powód do dumy tym bardziej, że do kadry narodowej zostały powołane dwie osoby z Klubu Gwarek Wilków - Anna Dzierża i Karol Szewczyk. Chciałbym uspokoić czy-

telników. Błąd w tytule jest zamierzony, a wyjaśnienie znajduje się w poniższej rozmowie z trzema niezwykłymi osobami, które swój czas i energię poświęcają niepełnosprawnym sportowcom. O trudach i płynącej stąd satysfakcji rozmawiam z Wiolettą Jo-

w sytuacji, gdy piłka ucieknie po prostu się po nią biegnie. Natomiast tutaj, gdy piłki wylecą poza boisko, ktoś kto nie ma nóg ma duży problem by ją przynieść. Poza tym Pani Dyrektor umożliwiła nam korzystanie z sali nieodpłatnie. Potem udało nam przebić się do ogólnopolskiego programu *Gotowi na Start*, realizowanego przez stowarzyszenie sportu niepełnosprawnych. Od trzech lat otrzymujemy stamtąd wsparcie. Jest to dla nas niezwykle istotne. Wiem to stąd, że prowadząc inny klub siatkarski co roku martwię się czy mi starczy pieniędzy na następny sezon, a tu mamy pewność, że przez najbliższe trzy sezony mamy zapewnione finansowanie. Oczywiście potrzeby zawsze są większe i chętnie przyjęlibyśmy pomoc z innych źródeł, zwłaszcza jeśli chodzi o organizację turnieju, który był przecież praprzyczyną klubu. Ten turniej organizujemy po raz siedemnasty i nigdy tak trudno nie było o zabezpieczenie finansowe. Czasem nazywamy go żartobliwie Turniejem Czterech Skoczni, bo współfinansują go cztery samorządy wojewódzki, powiatowy, gmina i miasto Złotoryja. Mam jednak nadzieję, że turniej może w skromniejszej formule, ale się odbędzie.

W. J. CH. - Funkcjonowanie drużyny mamy zabezpieczone ze środków, jakie otrzymujemy z programu oraz złotoryjskiego PFRON. Problemem są wyjazdy na zawody i mecze sparingowe. Niestety odległości są duże. Wyjeżdżamy często do Polic, Wrocławia i Łodzi. Poza tym turniej o puchar Polski odbywa się w Sulejowie. Do tej pory zawodnicy jeździli na własny koszt. Teraz dostaliśmy wprawdzie niewielkie, ale jednak dofinansowanie, ale niestety o wszystko trzeba prosić, pukać do wszystkich drzwi po kilka razy żeby te pieniądze dostać. Lucyna Kornobys jedna z zawodniczek na pytanie, czy nie lepiej byłoby pieniądze poświęcić na sport, przeznaczyć na nowy wózek, odpowiedziała, że wózek ma przez cały rok, i cały rok czeka na kolejny turniej w Złotoryi. A skoro już o nim mowa, to odbywa się zawsze w grudniu, to korelacja ze światowym dniem inwalidy. W czasach kiedy łatwiej było o środki finansowe, pierwsze mecze rozgrywaliśmy w piątki, dzięki temu zwłaszcza uczniowie SP 3 mieli okazję zobaczyć choćby jeden dzień zawodów. Obecnie nie stać nas na trzydniowy turniej i rozgrywki zaczynamy w sobotę, niestety kosztem frekwencji na trybunach. Nawet intensywna akcja promocyjna nie przynosi rezultatów. Przykre jest w tej sytuacji to, że drużynom gości kibicuje więcej osób niż gospodarzom.

P. CH. - Duże nadzieje wiązaliśmy z powstaniem w Ministerstwie Sportu departamentu d.s. niepełnosprawnych. Niestety nama-


calnych korzyści to nie przynosi. Był też pomysł, by siatkówkę na siedząco włączyć w struktury Polskiego Związku Piłki Siatkowej. Niestety powstał przy tej okazji paradoks, bo gdyby reprezentowaliby PZPS, to nie byłoby możliwości finansowania ich z funduszy Zrzeszenia Sportu Osób Niepełnosprawnych. Wniosek jaki z tego wypłynął jest taki, że więcej korzyści daje pozostanie poza PZPS. A potrzeby są takie jak w innych dyscyplinach. Obecnie na przykład, gdy obie reprezentacje odnoszą sukcesy, powstał problem skąd wziąć pieniądze na premie dla trenerów, bo w przeciwieństwie do innych wynagrodzenia naszych trenerów nie są wyolbrzymione.

W. J. CH. - Sport niepełnosprawnych to nie jest coś bardzo spektakularnego. Mówiąc brutalnie, z tego nie da się żyć. W klasycznej siatkówce, najlepsi zawodnicy osiągając pewien poziom, mogą się utrzymać z gry. Tu mamy do czynienia ze sportem amatorskim i już nie chodzi o to żeby zawodnikom płacić, ale żeby trud, który poświęcają na treningi i mecze jakoś rekompensować. Aktualnie każdy wyjazd to poświęcenie przynajmniej jednego dnia urlopu. Z drugiej strony nie jedna z osób grających w naszym klubie przeżywa teraz przygodę życia, coś co trudno byłoby doznać w inny sposób. Siatkówka na siedząco to nie tylko sport, to również wspólnota pełna wsparcia i pozytywnej energii.

M. S. - W niektórych krajach takich jak Białoruś czy Ukraina, zawodnicy trenują jak profesjonalni a ligi są tak mocne, że zawodnicy są w stanie utrzymać się z gry. A w czasie ostatnich mistrzostw Polski we Wrocławiu rodziny i przyjaciele zawodników sprzedawali upieczone przez siebie ciasto, by w ten sposób pozyskać pieniądze na organizację. Pociągające jest także to, że kluby w dużych miastach, które teraz organizują turnieje, uczą się organizacji i oprawy turnieju od nas.

W. J. CH. - Zależy nam na propagowaniu tej dyscypliny. Często zachęcam swoich uczniów do oglądania zawodów. Pokazuję im na ogół transmisje w Internecie. Dzięki temu osiągnęłam choć tyle, że dzieci wiedzą, iż taka dyscyplina w ogóle istnieje. Być może ta wiedza w przyszłości zaprocentuje zainteresowaniem. Niestety zawodnicy mają poczucie, że dotąd zawsze byli gdzieś z boku. Zależy nam więc na tym, żeby pokazywać ich jak najczęściej na głównych salach sportowych.

Jestem pewien, że mimo wspomnianych trudności grudniowy turniej w hali *Tęcza*, odbędzie się bez przeszkód. Pozostaje mi tylko zachęcić czytelników do kibicowania.

 **Andrzej Wojciechowski**



Malowanie z przerwami

O panu **Marianie Perłaku** usłyszałam podczas wizyty w Bibliotece Gminnej w Zagrodnie. Tegoroczne „Narodowe czytanie” odbywało się na tle jego obrazów, które nastrojem i klimatem świetnie pasowały do utworu „Nad Niemnem”. Ponieważ sama lubię obrazy przedstawiające krajobrazy, postanowiłam poznać ich twórcę, mieszkającego w niedalekim Wojciechowie. Oto jego historia:

„- Pierwsze obrazy malowałam w dzieciństwie, w szkole podstawowej. Podobno były na tyle dobre, że pani od plastyki postanowiła jeden z nich powiesić na korytarzu szkolnym. Nie spodobało mi się to, więc kolejne malowałam tak „na trzy”, żeby nie zostały czasem zaprezentowane dalej. Byłam na tyle przekorna, że czasem po wstawieniu oceny do dziennika, darłam obraz. Nie chciałam też brać udziału w żadnych konkursach plastycznych. Sam nie wiem, dlaczego. Obawiałam się, że obraz pójdzie dalej, a ja nie chciałam „za życia wisieć”. Właściwie to potem na-



wet chciałam studiować malarstwo na Akademii Sztuk Pięknych, ale nie zrobiłam matury. Zamiast do liceum, poszedłem do szkoły zawodowej i zostałem budowlanym. Do malarstwa wróciłem w wojsku, w jednostce w Krośnie Odrzańskim. Tak bardzo nie chciałem odbywać, wtedy obowiązkowej, zasadniczej służby wojskowej, poszedłem tam na przymus, więc żeby nic nie robić, ujawniłem się ze swoimi umiejętnościami malarskimi i malowałem obrazy. Mój dowódca - porucznik zobaczył w nich źródło dochodów i spędziłem dwa lata na malowaniu zamawianych przez niego obrazów o różnej tematyce. Miałem osobny pokój. On kupował mi farby i inne przybory. Nawet jedzenie mi dostarczano, nie musiałem chodzić na stołówkę, brać udziału w ćwiczeniach wojskowych i jeździć na poligon. Moje prace wysyłałem na konkursy okręgu wojskowego. Trzy razy zająłem pierwsze miejsce, raz drugie i zawsze dostawałem w nagrodę urlop. Po powrocie z wojska zająłem się rodziną i pracą, więc odłoży-

łem pędzle na prawie 35 lat. Wziąłem je do ręki ponownie w czasie pandemii. Malowanie zaczęło znowu sprawiać mi przyjemność. W młodości nie bardzo chciałem się tym zajmować. Teraz cały czas nadal uczę się malowania. Widzę, że brakuje mi jednak szkoły malarskiej. Gdybym kształcił się w tym kierunku, to ręka byłaby inna, pewniejsza. Robię wszystko na wycucie. Część obrazów maluję z pamięci, ale konie muszę mieć „do podglądu”. Niektóre obrazy malowałem bardzo szybko, a czasem jeden przez dwa lata. Problemem było dla mnie namalowanie wody i śniegu. Najbardziej lubię malować krajobrazy. Oprócz malowania jestem zapalonym motocyklistą, więc czasem robię zdjęcie pięknego krajobrazu, napotkanego w czasie moich wypraw. My mieszkamy w najpiękniejszym regionie w Polsce. W wolnej chwili nie siedzimy w domu. Jestem podróżnikiem, a moja żona podziela to moje hobby. Dzieci dorosły, więc od 10 lat podróżujemy razem z żoną. Jeździmy od Zgorzelca po Kłodzko. Teraz są to wycieczki jednodniowe, bo opiekuję się mamą. Przedtem zjeździliśmy motocyklem całą Polskę. W trakcie wycieczek zawsze wpadnie w oko coś ciekawego, jako temat na obraz. Maluję akrylem, ponieważ nie mam typowej pracowni malarskiej, robię to w domu, a moja żona nie znosi zapachu farb olejnych. U mnie we wsi mało kto wie, że maluję obrazy. Czasem na zamówienie maluję też na ścianach, robię płaskorzeźby. Jestem umówiony na wystawę moich obrazów na zamku Grodziec. Zostałem zaproszony przez Mariusza Garberę. Mam teraz ponad 130 prac, w większości namalowanych przez ostatnie 3 lata. Żadnemu z nich nie nadałem tytułu. Każdy może sobie sam zatytułować ten obraz, który mu się spodoba. Nie oprawiam też ich w ramy, zostawiam nabywcy wybór ram.”

Przez kolejne dwa miesiące można będzie zobaczyć prace pana Mariana na zamku w Grodziecu. Jest to jednocześnie miejsce, gdzie za czasów pierwszego kasztelana - Zenka Bernackiego, prowadził przez sześć lat prace budowlane. Czyścił i naprawiał piaskowiec, uzupełniał braki w murach. Cały środek zamku został przez niego wyczyszczony. Oprócz malowania obrazów lubi odnawiać stare rzeczy.

 **Wioletta Michalczyk**





Stało się...

Spotkanie klasy licealnej – rocznik '83 – odbyło się. Dla niektórych z nas było, to drugie spotkanie – pierwsze miało miejsce w 1988r. – dla mnie pierwsze. Kiedy podjąłem decyzję o zorganizowaniu spotkania po 40 latach, powiedziałem sobie, że nie odpuszczę nawet, jeżeli miałbym wszystkim zająć się sam. Na szczęście do organizacji spotkania dołączyli Janek oraz Waldek i zaczęliśmy działać. Najwięcej czasu pochłonęło ustalenie aktualnych adresów zamieszkania koleżanek i kolegów, numerów telefonów oraz dotarcie do niektórych osób. Spotkanie wyznaczaliśmy na 15.09.2023 r. o godz. 16.30 przy cmentarzu komunalnym w Złotorzy, gdyż chcieliśmy udać się na groby naszego wychowawcy śp. Janusza Kwapisza oraz koleżanek i kolegów, którzy odeszli. Na cmentarzu przeżyliśmy chwile zadumy i wspomnień o nauczycielach i koleżankach oraz kolegach, których spotkaliśmy na swojej drodze podczas czteroletniej nauki w liceum, a których nie ma już wśród nas.

Wiele wzruszeń wywołało spotkanie osób, których niejednokrotnie nie widzieliśmy kilkadziesiąt lat, odbyły się radosne powitania z pewną dozą niepewności – jak Oni wyglądają, czy się poznamy? Na szczęście z większością osób nie było problemów, poza kilkoma „tysimi” (wśród nich byłem również ja), których kilka osób nie rozpoznało.

Część oficjalna spotkania odbyła się w zajędziście „U Jana”, a gościem honorowym był Pan Profesor Andrzej Kuna, nauczyciel chemii, który uczestniczył również w spotkaniu w 1988 r., czyli można powiedzieć „weteran spotkań klasowych”. Oczywiście, nie obyło się bez sprawdzenia obecności, wg. listy dziennika z liceum, którą Pan Profesor miał ze sobą. W trakcie spotkania oglądaliśmy zdjęcia z różnych imprez klasowych, nagrania głosowe z rozdania swi-

dektu na zakończenie liceum i rozmawialiśmy, rozmawialiśmy, rozmawialiśmy... Spotkanie upłynęło w bardzo miłej atmosferze, aż nadszedł czas rozstania i pożegna-



nia się. Wszyscy obecni zgodnie orzekli, że następne spotkanie musi się odbyć za rok. Myślę, że skoro „taka jest wola ludu”, to nie ma innego wyjścia, jak je zorganizować.

Po spotkaniu poprosiliśmy uczestników o podzielenie się wrażeniami na jego temat, których kilka zamieszczamy poniżej.

Jestem szczęśliwa i bardzo mi miło, że po tylu latach mogłam się zobaczyć, porozmawiać i powspominać dawne czasy z koleżankami i kolegami. Jest to, coś pięknego i ważnego dla mnie. **Basia D.**

Dzięki za zorganizowanie spotkania. Było bardzo miło. Nawet sobie nie wyobrażasz, ile pary dodało mi to spotkanie. Dziękuję. **Basia P.**

Jak się dowiedziałem od Janka o spotkaniu trzy tygodnie wcześniej, to już byłem namiętny. Powiem Ci, że dziewczyny wspomniały. Na cmentarzu miałem problem z rozpoznanie tej blondynki, z którą się witałem. Jeszcze przez chwilę nie wiedziałem,

kto to jest. Chyba dziewczyny wyglądały lepiej niż 40 lat temu. **Andrzej M.**

Dla mnie super spotkanie. Przez te parę chwil wróciły wspomnienia lat młodzieńczych, mimo iż ktoś nazwał nas „starcami”. Miło było spędzić ten czas ze swoimi sympatycznymi koleżankami i kolegami. Dziękuję. **Wojtek W.**

Nasze spotkanie klasowe po 40 latach, to mega sprawa. Atmosfera była świetna, następnym razem myślę, że posiedzimy dłużej. **Darek K.**

Jeżeli chodzi o mnie, to jestem za organizowaniem takich spotkań, ponieważ dało mi to dużo radości, odżyły wspomnienia z czasów młodości. Cieszę się każdą chwilą, którą spędziłam w gronie moich koleżanek i kolegów. Zawsze zastanawiałam się, co Oni robią, jak ułożyło im się życie? Teraz, to wiem. Dziękuję Wam wszystkim za to, że mogliśmy się spotkać. Pozdrawiam Was wszystkich serdecznie i do następnego razu. Myślę, że to nastąpi. **Renata N.**

Andrzej Kuna: Zaproszenie na spotkanie przyjmuję z pewnym wahaniem. Myślałem

– 40 lat od ukończenia szkoły – czy będziemy się jeszcze pamiętać, czy będzie o czym rozmawiać? A tu bardzo miłe rozczarowanie, żadnych barier, czy sztywnej atmosfery, no może tylko małe problemy z poznaniem po latach niektórych uczniów. Szkoda, że czas upłynął tak szybko i trzeba było się pożegnać.

Przed spotkaniem od rana trema, jak wyglądamy i czy się poznamy? Przy powitaniu jest radość, uśmiechy, w oczach blask. Szkolne przyjaźnie odżywają, nowego wymiaru nabierają. Spotkajmy się jeszcze raz i do zobaczenia, cześć. Potężny ładunek emocji, wrażeń i wspomnień, który nie tak łatwo ugasić. W życiu wiele się zmienia, nie zmieniają się tylko wspomnienia. **Waldemar D.**

Myślę, że tych kilka zdań najlepiej oddaje atmosferę tego spotkania oraz mam nadzieję kolejnych.

Piotr Pazera



Dzień Ziemi

Wprowadzie Sprzątanie Świata już za nami, chciałabym jednak wrócić na chwilę do tego tematu i podzielić się z Państwem pewną refleksją. Kilka dni temu wybrałam się na spacer między polami w okolicach Kostrzej Góry. Jest to teren, z którego często korzystają rowerzyści, wędkarze w drodze na łowisko nad staw osadowy, rolnicy oraz lokalni turyści. Jesienna przyroda jest tu kojąca i cieszę się różnorodnością barw. Niestety, co jakiś czas, jak cierń wbija się w oko jakiś śmieć; wiadro, puszcza, butelka, worek foliowy, opona, opakowanie po chipsach i wiele, wiele, wiele innych. Ten widok był tak przykry, że zmusił mnie do czynów. Wróciłam do domu, chwyciłam worki na śmieci i zebrałam wszystkie napotkane na swej drodze paskudztwa. Po paru dniach znowu wybrałam się na spacer w tej samej okolicy i z niesmakiem stwierdziłam, że ponownie ktoś wyrzucił swoje śmieci, szpecąc szukające się do zimy pola i łąki.

Zawsze twierdziłam, że Sprzątanie Świata to dobra inicjatywa przypominająca ludziom o wartościach naszej planety i pozostawiała wierna idei sprzątania świata raz do roku. Jednak, czy jednorazowe sprzątanie kilku butelek pomaga planecie na taką skalę, na jaką byśmy chcieli?

Choć slogany reklamowe typu PODNIEŚ SWOJĄ BUTELKĘ I URATUJ ZIEMIĘ stanowią kuszącą wersję postrzegania ekologii, to aktualnie nie jest to wystarczające. Według oficjalnych danych z 2021 roku każdy Polak wyrzuca 358 kg śmieci rocznie, a ta liczba wciąż rośnie. Wiele osób podejmuje się próby przekonania społeczeństwa do ekologicznego życia, ale ludzkość w dalszym ciągu nie pojmuje wagi problemu, z jakim będą mierzyć się przyszłe pokolenia, a którego skutki już odczuwamy. Nadal zapominamy, że to my należymy do Ziemi a nie Ziemia do nas. Wszystkie działania służące poprawie jakości życia (przemysł i rozwój technologii) odbijają się na kolejnych pokoleniach ocieplenie klimatu i zanieczyszczeniem powietrza. To niewątpliwie poważny problem. Niezależnie jednak od tego, pewne jest też to, że kilka bezmyślnie pozostawionych śmieci może zepsuć nam całą radość z podziwiania pięknego krajobrazu i sprawić, że uznamy Ziemię za okropne miejsce. Zważywszy na to, jak bardzo wzrosło zanieczyszczenie środowiska, z pewnością powinniśmy zwracać większą uwagę na sięgające w daleką przyszłość, skutki naszych działań, ale - z nie mniejszą uwagą także dbać o nasze najbliższe otoczenie i dostosować komfort naszego funkcjonowania do ilości brudów, jakie może znieść nasza planeta. By Ziemia była czysta, warunek jest jeden, nie porządkujemy planety raz do roku, z okazji Sprzątania Świata, ale zawsze! To proste: sprzątam po sobie swoje śmieci.

Myślę, że będę tysięcną osobą, której artykuł czytacie Państwo na ten temat, ale wierzę, że każdy taki tekst może zmienić podejście choćby jednej osoby, a dzięki temu świat, na którym mamy przyjemność żyć, będzie czystszy, a nam będzie żyło się lepiej.

Hanna Sosa LO Złotorzyja

Kronika

28.09 w Bibliotece Publicznej Miasta i Gminy w Świerzawie odbyło się spotkanie autorskie ze Sławkiem Gortychem, autorem książki „Schronisko, które przestało istnieć”.

29.09 – 1.10. w Złotoryjskim Ośrodku Kultury odbyła się ósma edycja Dolnośląskiego Festiwalu Filmowego „Złoty Samorodek”.

30.09 w Złotoryjskim Ośrodku Kultury odbyło się wręczenie medali za długoletnie pożycie małżeńskie parom, które przeżyły w związku małżeńskim 50 lat.

30.09 nad Zalewem w Złotorzy miał miejsce piknik ekologiczny „Bądź w porządku dla planety” w ramach akcji „Czyste, Zielone Miasta”.

30.09 – 1.10 w Zamku Grodziec zorganizowano „Agroturystyczne Święto Wina i Miodu Pitnego”.

1.10 w Złotoryjskim Ośrodku Kultury odbyła się gala finałowa Dolnośląskiego Festiwalu Filmowego „Złoty Samorodek”.

5.10 na Sali Widowiskowej w Świerzawie odbył się „Koncert Mistrzów”, w wykonaniu pedagogów Szkoły Muzycznej I i II st. im. S. Moniuszki w Jeleniej Górze.

6.10 Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej zorganizowało XXV Rajd Jadwiżański.

7.10 Miejska Biblioteka Publiczna w Złotorzy zorganizowała Noc Bibliotek pod hasłem „Absurd nie czytać”.

9 – 15.10 w Rynku w Złotorzy odbył się kiermasz maskotek „Razem dla Nadii”, mający na celu pomóc w leczeniu chorej na nowotwór 3-letniej złotoryjanki.

12.10 w sali konferencyjnej Starostwa, odbyło się spotkanie z okazji Dnia Edukacji Narodowej.

13.10 w Bibliotece Publicznej w Świerzawie odbył się koncert „Henry No Hurry”.

15.10 w całym kraju odbyły się wybory do sejmu i senatu, a także referendum ogólnokrajowe.

16.10 w Liceum Ogólnokształcącym im. Jana Pawła II w Złotorzy obchodzone Dzień Patrona.

17.10 w Kościele św. Jadwigi w Złotorzy odbyły się Powiatowe Obchody Dnia Sybiraka oraz 84. rocznicy agresji wojsk radzieckich na Polskę.

18.10 w Bibliotece Publicznej w Świerzawie odbyło się spotkanie autorskie z Rafałem Fronią zatytułowane „Skalny Pielgrzym”.

19.10 w Złotoryjskim Ośrodku Kultury odbył się 7. Integracyjny Przegląd Twórczości Artystycznej „Uskrzydleni sztuką”.

20.10 na sali wiejskiej w Proboszczowie zorganizowano „Gminny Dzień Seniora”.

21.10 w Hali Sportowej Tęcza w Złotorzy odbył się turniej sportowy diabetyków i ich rodzin „Aktywny diabetyk”.

21 – 22.10 w Zamku Grodziec odbył się „Pierwszy Złot Wiedźm”.

22.10 twórcy internetowego projektu kaczawskieklimaty.pl oraz winnica Agat z Sokotowca zorganizowali rajd samochodowo-rowerowy po Krainie Wygastych Wulkanów „Wokół Wulkanów”.

23.10 na złotoryjskim cmentarzu komunalnym odbyła się uroczystość związana z oznaczeniem grobu weterana Andrzeja Fiksy.

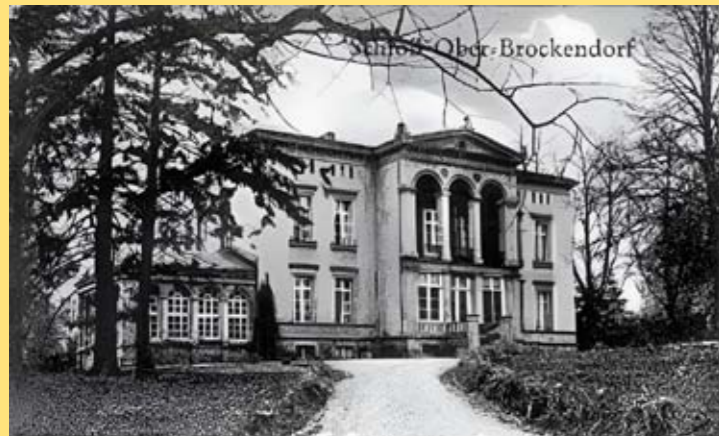
25.10 w Złotoryjskim Ośrodku Kultury odbył się przegląd twórczości artystycznej seniorów w ramach złotoryjskich senioraliów.

25.10 rozpoczęła się zorganizowana przez MOPS w Złotorzy „Zbiórka ciepłej odzieży na rzecz osób w kryzysie bezdomności”.

27.10 w Urzędzie Miejskim w Złotorzy odbyła się prelekcja poprowadzona przez dr Przemysława Nocunia z Uniwersytetu Jagiellońskiego o zamku w Rokitnicy.

28.10 w Prusicach miał miejsce odczyt o nobliście Gerharcie Hauptmannie.

Opracował: Jarosław Jańta



Schloß Nieder-Brockendorf Groß aus Brockendorf Kreis Goldberg-Haynau



Opowieść o brochocińskich pałacach

Co mówią źródła ?

W „Ewidencji parku w Brochocinie”, ujętej w „Katalogu parków woj. legnickiego” z 1976 r. możemy przeczytać, że „Miejsco-wość o słowiańskiej nazwie Mrokotyn jest wzmiankowana już w 1305 r. Do końca II wojny światowej utrzymał się podział wsi na **Brochocin Dolny (Nieder-Brockendorf)** i **Górny (Ober-Brockendorf)**. Dolny był posiadłością rycerską. Kolejni właściciele to: Sigmund Teichmann, od 1830 do II wojny światowej - rodzina Hirschfeldów (Johannes, Georg i ostatni właściciel Erben. W 1773 r. Teichmann wybudował, istniejący do dziś i zamieszkały, pałac w stylu późno-barokowym. Świadczą o tym inicjały jego imienia i nazwiska w kluczu portalu oraz inskrypcja na facjacie. Park krajobrazowy z poł. XIX w. wykorzystuje naturalne warunki terenowe. Wyróżnia się podział parku na wyżej położoną część z drzewami parkowymi i położoną niżej ze stawem i wyspą z wierzbą płaczącą. Po drugiej stronie drogi są dwa stawy, a park wiąże się z pobliskim lasem. Ciekawe są także aleje polne: dębowa (dąb szypułkowy, czer-

wony i błotny) i z drzewami iglastymi (modrzew, świerk pospolity, sosna zwyczajna, sosna limba, daglezyja zielona). Inne drzewa w parku to: dwa platany klonolistne o obwodzie 340 i 370 cm, buk, klon, olsza, jesion, robinia, kasztanowiec, lipa drobnolistna. Pałac został przebudowany w II poł. XIX w. Jest to dwór na planie prostokąta, trzytraktowy, piętrowy. Pośrodku trakt komunikacyjny z dużą sienią od południa i prowadzącym do niej portalem z pilastrów. Sień pierwotnie zajmowała ¼ głębokości traktu, była 3-przęsłowa, nakryta sklepieniem kolebkowo-krzyżowym. Na parterze zachowało się kilka pomieszczeń ze sklepieniami krzyżowymi. Za czasów Georga wzniesiono wieżyczkę z latarnią i drewniany ganek przed wejściem głównym. Hełm nad wieżyczką i dach nad gankiem są wsparte na konstrukcji drewnianej i pokryte blachą. Drzwi główne są 2-skrzydłowe, każde skrzydło z 2 kwaterami przeszkłonymi. Na dachu jest dachówka ceramiczna, podwójna karpówka.” Współcześnie sień została

przedzielona na pół i powstały w ten sposób dwa mieszkania. W jednym z nich zachowała się drewniana boazeria z szafką we wnęce. Prawdopodobnie była tam jadalnia. Kolejne dwa mieszczą się na pierwszym piętrze, na które prowadzą stare, drewniane schody, a poddasze jest nieużytkowane. Wejście do budynku od frontu prowadzi przez nowe drzwi, ale drewniana konstrukcja ganku została zachowana. Obecnie budynek ma prywatnych właścicieli. Ciekawostką jest to, iż na miejscowym cmentarzu znajdują się epitafia nagrobne właścicieli pałacu. Pierwsze - na



Zachowane zabudowania Górnego Majątku

murze cmentarza dotyczy Carla Sigmunda Teichmanna (1734-1790) wraz z informacją o jego dwukrotnym małżeństwie. Pierwszy raz ożenił się Johanną Eleonorą Jungfer z Schoenfeld. Ich małżeństwo zostało pobłogosławione 2 córkami i 2 synami. Z drugiego małżeństwa z wdową Anną Marią Sollner miał 2 córki i syna. Kolejne epitafium znajdujące się na ścianie kaplicy cmentarnej poświęcone jest trzem osobom: Ernstowi Traugott Becker (1801-1850), nazwanemu właścicielem Dolnego Brochocina, Charlotte Gotschling Becker (1802-1859) i Ludwigowi Gottschling (1805-1873).

Górnym władali kolejno: od 1786 - baron von Gahlen, od 1850 - rodzina Quoos (kolejno: Rudolf, Erben i od 1913-1943 - Ernst). Rudolf odebrał staranne wykształcenie. Ukończył gimnazjum ewangelickie w Głogowie, studiował prawo, przed egzaminem końcowym wystąpił ze służby państwowej i został rolnikiem, a od 1851 r. właścicielem majątku rycerskiego w Brochocinie. Był m.in. członkiem rady powiatu i śląskiego parlamentu prowincjonalnego. Nieistniejący pałac powstał prawdopodobnie w XVIII w. Na miejscu pałacu zbudowano za czasów PGR basen przeciwpożarowo-kąpielowy. Z „Katalogu zabytkowych parków i ogrodów województwa legnickiego” z 1997 r. dowiadujemy się, że „Przy pałacu założony był niewielki ogród ozdobny. Pałac był usytuowany w południowo-wschodniej części posiadłości, zwrócony fasadą ku dziedzińcowi folwarcznemu. Przed rezydencją wiodła od południa droga dojazdowa, oddzielająca pałac od gospodarczego majdanu. Była ona obsadzona lipami, tworzącymi wraz z murem oporowym niewielki podjazd. Zachowanym elementem dawnego założenia jest szpaler dębowy biegnący równolegle do zachodniej granicy posiadłości, kontynuowany w kierunku północnym rzędem lip. Pomiędzy nimi znajduje się niewielki wzgórek, obsadzony u podnóża grabami i lipami. Na przełomie XIX i XX w. wzbogacono drzewostan wokół pałacu o nowe drzewa, min. jedlicę Douglasa, sosnę limbę, gledicję trójcierniową. Obecnie są w nim znaczne ubytki.

Do drzew pomnikowych zakwalifikowano 2 dęby szypułkowe i 1 lipę szerokolistną. Wiek najstarszych drzew dochodzi do 200 lat.” Powierzchnia gospodarstwa w drugim dziesięcioleciu XX w. wynosiła 738 ha. Hodowano tam było typu holenderskiego. Wchodząc obecnie na teren byłego pałacu można wyobrazić sobie, jak wy-

glądał on przed laty. Jest to ogromna przestrzeń, zamknięta zabudowaniami gospodarczymi, w których prowadzona jest hodowla bydła. Część budynków jest wykorzystywana na cele mieszkaniowe. Niektóre są niezamieszkałe, ale i tak sprawiają imponujące wrażenie. Po lewej stronie na wzniesieniu rośnie kilka zabytkowych lip. Na zachowany zespół folwarczny składają się: obora z 1800 r., stajnia z końca XIX w., obora z częścią mieszkalną z końca XIX w., budynek gospodarczy, wielofunkcyjny z początku XX w.

O trzecim pałacu, jak go nazywają mieszkańcy Brochocina, dowiedziałam się w rozmowie z nimi. Prawdopodobnie był to duży folwark z okazałym budynkiem. Po wojnie mieściła się w nim Rolnicza Spółdzielnia Wytwórcza im. „Zielony Sztandar”, której dokumentacja, niestety bez zdjęć, znajduje się w Archiwum w Legnicy. Na terenie byłej spółdzielni, a raczej, jak mówią rozmówcy, „bazy” mieszka część z nich.

Pani Anieli Koziara to gospodyni domu, gdzie odbyło się spotkanie z mieszkańcami Brochocina, które udało się zorganizować dzięki pomocy **pani Danuty Janiszewskiej**. Jej dziadkowie przyjechali w kwietniu 1945 roku i zajęli ostatni dom na końcu wsi, daleko od szosy. Bali się powrotu wojny.

Pani Stanisława Piaskowa, od 1945 r. w Brochocinie, przyjechała z Dębowic koło Korościatyna: „Pamiętam samochody i motory na szosie i w rowach, jak tu przyjechaliśmy. W domach były jeszcze zaścienione łóżka, obrazy na ścianach, różne rzeczy. Ludzie je niszczyli, palili. bo myśleli, że zostaniemy tutaj dwa, góra trzy miesiące. **Na Górnym Brochocinie** był wielki pałac z przepięknymi piecami. Na dole było wszystko marmurowe. Budynek pałacu był uszkodzony z jednej strony, chyba przez bombę i został rozebrany. Na jego miejscu zrobili basen, potem go zasypali. To już, gdy był tam PGR. Miał duże zabudowania gospodarcze, istnieją do dzisiaj. Przy pałacu było ogrodnictwo, inspekty. Pamiętam tory i wózki kolejki wąskotorowej z lotniska przez pole na podwórze pałacu, do stajni. Jechaliśmy po 10, 15 dzieci w jednym.”

Pan **Eugeniusz Kuziora** mieszka w domu

wybudowanym na terenie wspomnianego trzeciego pałacu, rozebranego w latach 70. Jego rodzice przyjechali z Rzeszowskie-



go: „Była tu w latach 50. i 60. spółdzielnia produkcyjna - kołchoz, potem baza kółka rolniczego. Już za spółdzielni nie było żadnego nadzoru i wszystko z pałacu rozgrabiono. Teraz zostały tylko zabudowania gospodarcze i dwie piwnice, bawiłem się w

nich w dzieciństwie w chowanym. Podobno była tu rzeźnia przed wojną. Pamiętam kafelki w dwóch pomieszczeniach między resztkami murów. Rosjanie rozebrali je i gruz przeznaczili na drogę. Dachówkę ktoś sobie zabral. W ogrodzie rośnie ogromny, stary dąb. Obok na podwórzu stoi dawny gołębnik.”

Pani Helena Kowalczyk mieszka we wsi od 1957 roku, w jednym z dawnych budynków gospodarczych, naprzeciw pana Eugeniusza: „Obok mieszkała tam Niemka, nazwiskiem Urban. Podobno była ona służącą w pałacu. Ja pracowałam 7 miesięcy w tym kochozie, zajmowałam się 19 krowami. Za pracę dostawaliśmy z mężem 5 kilogramów pszenicy na dzień. Księgowym był Sebzta, brygadzystą Fedyna, a magazynierem Młynko. Jak się rozwiązała spółdzielnia, to wzięliśmy to mieszkanie, gdzie teraz mieszkam. To była wspólnota: dom i

tam zabawy i wesela. Potem widziałem, jak ściągali mury grube na 1,5 m przy pomocy „libiarki” (wyciągarka). Ludzie kładli gruz na drogę i rozciągali go lopatami.

We wsi były trzy pałace. Na Dolnym Brochocinie jest nadal pałac, ten z wieżyczką. To było gospodarstwo ogrodnicze. Na dole były biura PGR-u, na górze mieszkania dla pracowników. Potem w tym budynku działała szkoła i przedszkole. Teraz jest własnością prywatną, mieszkają w nim trzy rodziny, a drugie piętro jest nieużywane, pokoje stoją puste. Od pałacu prowadzi w pola, w kierunku lotniska w Łukaszowie, stara, zabytkowa aleja dębowa. Z boku były stajnia, spichlerz, suszarnia chmielu, ogromna stodoła, obora z piętrem i wozownia. Z tyłu stał budynek z kuchnią dla robotników sezonowych. Na podwórzu był gołębnik z dzwo-

się jeszcze odszukać wizerunek tego trzeciego „pałacu”, o którym mówią mieszkańcy. Zwłaszcza, że wiąże się z nim ciekawa, aczkolwiek smutna historia, którą usłyszała od swojego wujka Wiktora Stachowskiego **pani Teofila**. On świetnie mówił po niemiecku i przekazali mu ją Niemcy, którzy zostali po wojnie we wsi: „Właściciel tego pałacu skończył przed wojną studia rolnicze, był agronomem, prowadził hodowlę zbóż. Zakładał poletka doświadczalne, a jego ekonom prowadził dzienniczkę upraw na podstawie warunków pogodowych. Często organizował polowania, na które zapraszał swoich znajomych. Pewnego razu nie schowano po polowaniu broń, została niezabezpieczona w holu. Jego

syn zaczął się nią bawić i nieumyślnie zastrzelił swoją siostrę. To wydarzenie wstrząsnęło całą rodziną. Ich matka prawie dostała pomieszczenia zmysłów. Ojciec zachorował potem na gruźlicę i zmarł. Po jego śmierci żona wyjechała z dwoma synami do szwagra w okolice Zgorzelca. Ja jeszcze pamiętam ten budynek sprzed czasów spółdzielni. Chodziłam do mojej koleżanki na skróty przez podwórze. Był pię-



Jan Koziara na terenie spółdzielni w Brochocinie



Uczniowie szkoły w Brochocinie - lata 50.

stodoła. Teraz reszta stoi pusta.”

Pan Walenty Luszniowski, sołtys Brochocina: „Wejście do tego pałacu było z dwóch stron, z przodu przez taras. Po obu stronach schodów były duże, kamienne kule. Drzwi były wahadłowe, a schody w środku drewniane i bityszczące. Odbywały się

nem. Przy pałacu są pozostałości parku: ogromny platan, a z tyłu stara lipa i buk. Tam za czasów przedszkola był plac zabaw. W środku są jeszcze oryginalne, kamienne schody do piwnicy, drewniane na piętro i niektóre stare drzwi.” Jego siostra **Teofila Banasiak** dodaje do opisu brata: „W tym PGR-ze mieszkali i pracowali ci Niemcy, którzy wyjechali dopiero w 1957 r. Po lewej stronie za pałacem były ogrody warzywne, po prawej drzewa parkowe. W parku były poniemieckie przyrządy do gimnastyki, pomnik i fontanna.”

Być może uda

trojny, wahadłowe drzwi były przeszkłone, za szybami była lśniąca posadzka. Nie wchodziłam do środka, mama mi zabraniała. Bała się, żeby coś na mnie nie spadło”. Z kolei **pan Józef Marcinkiewicz** pamięta zamurowane okno, na którym pismem gotyckim był napis, że wydarzył się wypadek i brat zastrzelił siostrę. On sam mieszkał wtedy z rodziną w dawnym zajeździe, w którym była sala bilardowa. W ścianie kościoła, po prawej stronie od wejścia, znajduje się nagrobek dziesięcioletniej Alice Carl (1912-1922) i jej ojca - rotmistrza Gustava Carla (1877-1940), prawdopodobnie bohaterów opowieści wujka pani Teofili.

Do tej pory Brochocin kojarzył mi się głównie z drogą ze Złotoryi do Chojnowa, ale ta miejscowość kryje jeszcze wiele tajemnic do odkrycia. Może ktoś z naszych czytelników pomoże w tym?

Wioleta Michalczyk



Co mówią ściany? Część I

„Ruiny nie są najlepszą miarą wielkości” myślał kiedyś Seneka. Ale po piątkowym spotkaniu w złotoryjskim magistracie pozwolił sobie się z tym nie zgodzić. Przykładowo taki zamek w Rokitnicy. Rokitnica ma zabytek klasy europejskiej, bo czego nie wiedziałem, zamek w Rokitnicy był jednym z ważniejszych śląskich zamków w średniowieczu.

Gmina Złotoryja otrzymała środki na renowację zabytków i zamierza wydać je na renowację (konserwację) pozostałości tego dzieła Henryka Brodatego, założyciela Złotoryi. Tak, o ten zabytek trzeba zadbać i to zadbać umiejętnie. Z tej okazji do Urzędu Miejskiego w Złotoryi zawiązał doktor Uniwersytetu Jagiellońskiego Przemysław Nocuń. Archeolog i badacz między innymi XIV-wiecznej książęcej wieży mieszkalnej w Siedlęcinie, skąd akurat udał się do Złotoryi na prelekcję o naszym zabytku. Jako archeolog nie przyjechał do nas przekazać wiedzy, co się z zamkiem działo, ale o czym to miejsce nam opowiada.

Dzisiaj zamek w Rokitnicy to jedna ściana, ściana kaplicy książęcej. Ale, jak mówi dr Nocuń, ta ściana bardzo dużo mówi. „My archeolodzy – mówi doktor Nocuń – staramy się jak najwięcej wyczytać z murów. Wszelkiego rodzaju obiekty czy zamki, czy kościoły, czy nawet kamienice, w tych różnych budowach, przebudowach, zamurowywaniu jednych okien, wykuwaniu innych otworów, żeby powstały inne okna, prezentują całą historię tego obiektu. Pozwala nam to na bazie drobiazgów, które często oko turysty czy mieszkańca nie dostrzeże, wynajdywać takie rzeczy, które są wyjątkowe w skali co najmniej Polski. A ja chcę powiedzieć, że w Rokitnicy co najmniej jeden taki element jest. Wszyscy mówią, że tutaj jest zaledwie jedna ściana i to ściana kaplicy. Gdzie tu zamek?”

Ale od początku. Średniowiecze to wspaniały okres, a nie jak chce XIX - wieczna literatura zabobon, brud i smród. To czas od-

krywania Europy, pierwsze podróże, rozbudowa ekonomii, rozwój mieszczaństwa i przedsiębiorczości. Czas, w którym powstawały pierwsze uniwersytety, miasta i sieć wsi. A do administrowania tym wszystkim potrzebne były zamki. Tym właśnie zajmowali się śląscy Piastowie, Henryk Brodaty, a wcześniej jego ojciec Bolesław Wysoki. Zachłystnęli się oni rozwojem i wprowadzali wiele rozwiązań, jakie sprawdziły się w Europie. Bolesław to postać niesamowita. To on wprowadził murowane zamki na teren Śląska. Wnuk Bolesława Krzywoustego wychowany na jego dworze wśród elit władzy. Ożeniony z księżniczką ruską, wyjechał do Kijowa, który był wtedy ogromnym centrum kultury Europy Wschodniej z szerokimi kontaktami z Bizancjum. Potem, po skazaniu jego ojca na wygnanie, trafił na terytory dzisiejszych Niemiec i stamtąd wyruszył na wyprawę krzyżową. Zobaczył cały świat cywilizacji śródziemnomorskiej. Widział, jak budowano zamki w Palestynie i w Syrii. Był jednym z ważniejszych rycerzy w otoczeniu cesarza Fryderyka Barbarossy, kiedy ten postanowił upomnieć się o koronę Italii. U murów Mediolanu, kiedy poprzez pojedynek miało się rozstrzygnąć, czy będzie wielka wojna, czy spór rozstrzygnie walka najmężniejszych rycerzy, to z ramienia cesarza wystąpił tam „Dux Silesia”, czyli książę Śląska, a innych przecież tam nie było. I ten pojedynek wygrał. Następnie odzyskał Śląsk i rozpoczął przenoszenie na Śląsk ówczesnego „elitarnego modelu kreowania przestrzeni”: „najpierw zbuduje miasto, wokół niego powstanie wieś, zamki do pilnowania porządku i na końcu miejsce, w którym będę spoczywał ja i moja rodzina (klasztor w Lubiążu)”. Z jego inicjatywy rozpoczęły się wielkie inwestycje zamkowe. Wleń był pierwszym zamkiem, ale o tym za chwilę. Jego kontynuatorem był Henryk Brodaty.

Zamki nie były budowane tylko po to, żeby w nich się bronić lub mieszkać. One miały

bardzo symboliczne znaczenie. Jak wszystko zresztą w Średniowieczu. Dla chłopów, mieszczan to był symbol władzy Pana. Natomiast dla elit i innych władców, było to pokazanie, że „mnie się to należy” i „ja jestem tu najmocniejszy”. Bardzo ważne było budowanie według pewnych schematów. Bo zamki miały symbolizować jak największą władzę. Kto uważany był za największego władcę w tych czasach? Czyż nie ten, który zjednoczył zachodnią Europę i odtworzył ideę władzy cesarskiej po upadku Rzymu? Karol Wielki. Pierwszy murowany zamek powstał w Akwizgranie, w jednym z ośrodków stołecznych Karola Wielkiego. To „ojciec”, „dziadek”, czy jak byśmy tego nie nazwali, „pradziadek” wszystkich zamków. Jak wyglądał? Przede wszystkim posiadał dwa elementy: wielką murowaną Aulę, czyli pałac (siedziba cesarza) oraz osobno, po drugiej stronie tego założenia, dwukondygnacyjną Capellę, czyli budynek prywatnej kaplicy – symbol tego, co cesarz chciał uzyskać, czyli zwierzchności nad Kościołem. Do kaplicy prowadził murowany korytarz o długości ok. 150 metrów, łączący obie budowle. Przez ten korytarz Karol mógł spokojnie przechodzić ze swoich prywatnych pomieszczeń w Aulę. Wybudowany na przełomie IX i X wieku zamek w Akwizgranie stał się wzorcem, który kopiowano w całej Europie przez kolejne kilkadziesiąt lat. Wzorec ten zastosowano także w Legnicy, Wleniu i Rokitnicy. Wzorem dla Karola Wielkiego natomiast był położony w nieodległym Trewirze zachowany budynek Auli, zbudowany jeszcze przez Rzymian. Symbolizował on wszystkim dawną, wielką władzę Cesarstwa Rzymskiego.

Jak spojrzymy na sieć zamków Henryka Brodatego, to widzimy między innymi Legnicę i Wrocław z największą w Europie cylindryczną wieżą na Ostrowie Tumskim. To była wieża z filarem centralnym o średnicy 28 metrów. Nie ma drugiej takiej. Uświadomiamy nam to, jakim Henryk był ambitnym księciem, jaką miał moc i potencjał finansowy.

Legnica jest jednym z dziesięciu najlepiej zachowanych zamków europejskich z dwoma w pełni romańskimi wieżami (to oryginalna substancja z XIII w.). Legnica i Wrocław to siedziby książęce i główne ośrodki władzy. Inny typ zamku budowano dla zapewnienia tak zwanego „miru książęcego” w nowo kolonizowanych obszarach, gdzie powstawały miasta, miasteczka i wsie. Jeżeli chcemy, żeby miasta się rozwijały, żeby kupcy przywozili tutaj najbogatsze i najważniejsze produkty, to trzeba budować zamki, które by tym administrowały i tego pilnowały. Gwarantowały pokój i bezpieczeństwo kupcom na drogach. Jeden z pierwszych takich zamków powstał we Wleniu jeszcze za Bolesława Wysokiego. Dzisiaj Wleń to pozostałości jedynej na Śląsku sześciobocznej wieży obronnej oraz najstarszy świecki kamienny budynek mieszkalny (dom romański) w Polsce, nie ma starszego.

Sluchaj i spisaj: Jarosław Jańta



Zbrodnia Katyńska to dokonany wiosną 1940 r. przez funkcjonariuszy policji politycznej Związku Socjalistycznych Republik Sowietkich mord na blisko 22 tysiącach obywateli państwa polskiego. Ofiarami było ok. 14,5 tys. jeńców wojennych oraz 7,3 tys. osób cywilnych. Katyń to jedno z najważniejszych miejsc na mapie martyrologii narodu polskiego.

Nazwa zbrodni pochodzi od miejscowości Katyń niedaleko Smoleńska, w okolicach której zamordowano i pogrzebano część ofiar (ok. 4,4 tys. jeńców wojennych przetrzymywanych w obozie w Kozielsku). Katyń to pierwsze, ujawnione już w latach II wojny światowej miejsce sowieckiej zbrodni – dlatego też właśnie od niego wzięta swą nazwę. Miejsca zamordowania i pochowania pozostałych jeńców polskich, których przetrzymywano w obozach w Starobielsku i Ostaszkowie, długo, bo aż do początku lat 90. XX w. nie były znane.

Zbrodnia Katyńska ma bezprecedensowy charakter. Przede wszystkim dlatego, że jej ofiarą padły tysiące jeńców wojennych, których życie znajdowało się pod ochroną prawa międzynarodowego – w większości oficerów. Także z uwagi na cel jej dokonania i straty, jakie wyrządziła państwu i Narodowi Polskiemu. Celem była fizyczna eksterminacja polskich patriotów – oficerów Wojska Polskiego, policjantów, inteligentów – miała nie dopuścić do odrodzenia się państwa polskiego. Władze ZSRR wiedziały bowiem, że ludzie ci – mimo osadzenia w obozach i więzieniach – z walki o wolną Polskę nie zrezygnowali i nie zrezygnują. Zamiarem Związku Sowietkiego było natomiast definitywne wymazanie Polski z mapy Europy. Niepowetowane straty wynikały z tego, że zamordowani reprezentowali nie tylko najwyższej próby polski patriotyzm, ale także stanowili elitę intelektualną międzywojennej Polski. Wśród zamordowanych znajdowali się liczni naukowcy, lekarze, inżynierowie, artyści. Zbrodnia Katyńska była wymierzona nie tylko w ludzi, ale także w prawdę. Aż do 1990 r. władze ZSRR zaprzeczały swej odpowiedzialności za mord na obywatelach polskich i kłamliwie obarczały nią Niemców. Tym bardziej należy pamiętać o ludziach, którzy starali się zde-

maskować sowiecką mistyfikację i dotrzeć do prawdy. Słowo „Katyń” do dziś budzi grozę.

Przez długi czas Niemcy i Sowieci przerzucali się odpowiedzialnością za tę zbrodnię. Ale my wiemy, już wtedy wiedzieliśmy, były na to wystarczające dowody, że zbrodni ludobójstwa dokonał NKWD. Zamordowani bez sądu, bez wyroku, w sposób bestialski...

16 września w Złotoryjskim Ośrodku Kultury odbyła się konferencja popularyzacyjno-naukowa „Złotoryja w cieniu Katynia”. Po wojnie w naszym mieście zamieszkały wdowy, dzieci i bliscy pomordowanych w Katyniu i nie tylko tam. Podczas sympozjum głos w imieniu pomordowanych – dając im tym samym drugie życie – zabrali prelegenci, w większości wnuki i prawnuki oficerów i funkcjonariuszy państwa polskiego, bohaterów sprzed 83 lat, zamordowanych przez Sowietów wiosną 1940 r. W swoich prezentacjach pokazywali liczne przybyły złotoryjanie pamiętki rodzinne, a wśród nich także korespondencję od więzionych w obozach jenieckich. Było sentymentalnie, wzruszająco i patriotycznie.

Jako pierwszy głos zabrał dr Krzysztof Łągojda pracownik Uniwersytetu Wrocławskiego i IPN we Wrocławiu. Naukowiec przedstawił także kalendarium zbrodni katyńskiej w pigułce oraz nakreślił, jak przez 50 lat wyglądało życie rodzin pomordowanych oficerów, karmionych w PRL-u kłamstwem katyńskim.

O losach funkcjonariuszy Policji Państwowej Koronata Jeremołajewa oraz Jakuba Antosiaka opowiedziała jako pierwsza Anna Maćkowska, wnuczka K. Jeremołajewa. Dziadek pani Anny urodził się w 1901 r. Był starszym posterunkowym Policji Polskiej w Kłoczewie w powiecie Garwolińskim. Osadzony przez Sowietów w 1940 r. został przewieziony do Tweru (Kalinina) i tam rozstrzelany. Pochowany na cmentarzu w Miednoje. W 1992 r. otrzymał pośmiertnie Krzyż Kampanii Wrześniowej 1939. Wdowa Lidia przyjechała w 1945 r. wraz z dwiema córkami do Złotoryi. Tutaj zmarła w 1993 r., spoczywa na złotoryjskiej nekropolii. Z kolei Jakub Antosiak, przyjaciel Koronata urodził się w 1892 r., przed wojną pełnił funkcję starszego przodownika Policji w Garwolinie. Osadzony we wrześniu 1939 r. w Obozie w Ostaszkowie. W kwietniu 1940 został przewieziony do Tweru (Kalinin) i tam rozstrzelany. Pochowany na cmentarzu w Miednoje. Jego żona Anna, która przyjechała do Złotoryi w 1955 r. i została pochowana na miejscowym cmentarzu. Obecnie we Wrocławiu mieszka syn Jakuba pan Józef Antosiak.

Drugą prelegentką była Ewa Karska, wnuczka porucznika Mariana Szczerby. Marian Szczerba urodził się w 1907 r., był technikiem ruchu w dziedzinie mechaniki i elektryczności, podporucznik 16 Pułku Piechoty w Tarnowie. We wrześniu 1939 r. został uwięziony w obozie w Kozielsku i następnie zamordowany w Katyniu. Podczas ekshumacji w 1943 r. został zidentyfikowany. Otrzymał pośmiertnie Krzyż Kampanii Wrześniowej 1939 r. Jego żona Stefania zmarła w 2008 r. w Złotoryi tutaj też została pochowana. W Złotoryi mieszka ich córka Urszula.

Bohaterem kolejnego referatu był sędzia Stefan Kaute. Był on bratem dziadka pana Pawła Szklarza, który przedstawił sylwetkę wuja. Stefan Kaute urodził się w 1906 r. W 1929 r. ukończył studia prawnicze na Uniwersytecie im. Jana Kazimierza we Lwowie następnie został nominowany na sędziego Sądu Grodzkiego w Szczercu pod Lwowem. Od 1937 r. był prezesem Sądu Grodzkiego w Szczercu. W 1940 r. został aresztowany przez NKWD, osadzony w więzieniu Brygidki we Lwowie, a następnie wywieziony w głąb ZSRR. Zamordowany wiosną 1940 r. (uwidoczniony pod poz. 78 wykazu NKWD z 1940 r. na tzw. Ukraińskiej Liście Katyńskiej).

Z kolei p. Ewa Kwiatkowska opowiedziała o życiu i losach swojego pradziadka Adama Kowalskiego. Nasz bohater urodził się w 1896 r. niedaleko Piotrkowa Trybunalskiego. W 1917 r. wstąpił do Polskiej Organizacji Wojskowej, następnie walczył w wojnie polsko-bolszewickiej. W 1923 r. rozpoczął pracę w Policji Państwowej w Tarnopolu. We wrześniu 1939 r. został osadzony w obozie w Ostaszkowie. W kwietniu 1940 r. został przewieziony do Tweru i tam rozstrzelany/ Pochowany na cmentarzu w Miednoje. Jego rodzinę deportowano w kwietniu 1940 do Kazachstanu. Syn Adama Zygmunt przybył do Złotoryi i zmarł tutaj w 1976 r. Jego grób znajduje się na tutejszym cmentarzu.

Prowadzący konferencję (wspólnie z panem Marcinem Woźniakiem), Tomasz Szmaniak przedstawił losy swojego wuja Modesta Żabskiego. Modest urodził się w 1898 r. w niewielkim majątku ziemskim Sosnowo w powiecie podhajeckim na Kresach Wschodnich. Był absolwentem w Gimnazjum CK w Brzeżanach. Legionista, uczestnik wojny polsko-bolszewickiej w 1920 r. Absolwent Wyższej Szkoły Wojennej, po ukończeniu której otrzymał dyplom oficera dyplomowanego, następnie stopień majora. Kawaler Orderu Virtuti Militari. Wywieziony po kampanii wrześniowej do Starobielska, został zamordowany w Charkowie w kwietniu 1940 r.

Robert Pawłowski, kolejny prelegent przedstawił losy swojego wuja Leszka Jaklińskiego. Leszek Jakliński urodził się w 1895 r., uczestnik walk w obronie Lwowa w 1919 r. i bitwy warszawskiej w 1920 r. Kapitan rezerwy. Dyrektor szpitala oraz sanatorium we Lwowie. W 1921 r. został odznaczony srebrnym krzyżem Virtuti Militari, a w 1938 r. za działalność społeczną otrzymał Srebrny Krzyż Zasługi. We wrześniu 1939 r. jako kapitan rezerwy powołany do służby w 6 Szpitalu Okręgowym Armii Karpaty. Aresztowany przez Ro-

sjan w 1940 r., zmarł w więzieniu we Lwowie w tym samym r. Jego żona Józefa zmarła w 1954 r. w Złotoryi podczas odwiedzin u siostry. Na złotoryjskim cmentarzu spoczywają Wanda Błocka, siostra Leszka oraz jego brat Jan.

Z kolei pomysłodawca sympozjum Roman Gorzkowski opowiedział o losach porucznika Jana Cymbalisty. Jan Cymbalista urodził się w 1901 r. w Rohatynie w województwie stanisławowskim. Uczestnik wojny polsko-bolszewickiej w 1920 r. Absolwent w gimnazjum w Rohatynie, później urzędnik tamtejszego Wydziału Powiatowego. Następnie wstąpił do policji. We wrześniu 1939 r. służył w stopniu porucznika. Uwięziony w obozie w Kozielsku, zamordowany i pochowany w Katyniu w kwietniu 1940 r. Został podobnie jak Marian Szczerba zidentyfikowany podczas ekshumacji w 1943 r. W 2007 r. mianowany na stopień kapitana Policji Państwowej. Na cmentarzu w Złotoryi spoczywa jego żona Józefa, która zmarła w 1987 r.

Jako ostatni zabrał głos Leszek Sołtysik, pracownik Biura Badań Historycznych Wrocławskiego Oddziału Instytutu Pamięci Narodowej, prelegent zapoznał słuchaczy z zakazanymi rocznicami związanymi ze Zbrodnią Katyńską.

Idąc za słowami dr. Witolda Wasilewskiego z IPN, który oceniając charakter zbrodni katyńskiej, napisał: „Skala represji i zbiorowy profil ofiar, motywy podjęcia decyzji i sposób jej przeprowadzenia - kwalifikują ją do uznania za zbrodnię ludobójstwa. Ofiary łączyła przynależność do elity polskiego społeczeństwa, z tej przyczyny zostały skazane przez komunistów na zagładę, stając się ofiarami klasycznego ludobójstwa, w którym nie konkretne i udowodnione w przewodzie sądowym czyny decydują o śmierci, lecz przynależność do grupy narodowej, etnicznej, rasowej, religijnej, politycznej lub społecznej. W przypadku ofiar zbrodni katyńskiej o ich zagładzie zdecydowało kryterium polskości - fakt, że jeńcy Kozielska, Starobielska i Ostaszkowa byli Polakami. Wyróżnik społeczny (...) był dodatkowym motywem zagłady. Kontekst zbrodni katyńskiej stanowiło wymierzone we wszystkie warstwy społeczne niszczenie polskości na obszarze sowieckiej okupacji, obejmujące m.in. deportację setek tysięcy Polaków w głąb ZSRS w celu etnicznego +wyczyszczenia+ ziem polskich” (W. Wasilewski „Katyń 1940 - sowieckie ludobójstwo na Polakach”, Biuletyn IPN, Nr 1-2 [72-73] 2007).

Na koniec pragnę podziękować Instytutowi Pamięci Narodowej oraz Burmistrzowi Złotoryi za objęcie patronatu honorowego konferencji, Towarzystwu Miłośników Ziemi Złotoryjskiej i Liceum Ogólnokształcącemu im. Jana Pawła II w Złotoryi za organizację sympozjum. Za różnorodną pomoc dziękuję Narodowemu Centrum Kultury w Warszawie, dzięki któremu mogliśmy rozdać katyńskie guziki. Dyrektorowi ZOK p. Zbigniewowi Gruszczyńskiemu, paniom i paniom: Dorocie Bocheńskiej, Barbarze Porębskiej i Józefowi Banaszkiowi.

Tomasz Szmaniak



Taką piękną widokówką w 1972 roku ze Złotoryi do Katowic wystąpił niejaki Józek. Wiem, wiem, nie powinno się czytać cudzych „listów”, ale korespondencja jest dość nietypowa, więc postanowiłem się nią z Wami podzielić.

Pozwolę sobie przepisać treść korespondencji - Moc pozdrowień z „terenu” śle Józek, PS. Pogoda jak w Zakopanym w marcu. Pyski jak u nałogowych alkoholików.”

Hmm nie będę komentował tego nietypowego wpisu, po prostu pan Józef nie

Przemysław Markiewicz

Remontów czar...



Chyba każdy z Was lubi zagadki, tak więc czas na kolejną fotograficzną łamigłówkę. Tym razem chciałbym Wam przedstawić ciekawą fotografię złotoryjskiej kamienicy pochodzącej z XVIII wieku. Obecnie budynek wygląda nieco inaczej, gdyż w 1987 roku został przeprowadzony kapitalny remont... i wtedy kamienica wiele straciła... ale sami to ocenicie. Oba zdjęcia prawdopodobnie pochodzą z 60. - 70. lat XX wieku. Poznacie budynek ze zdjęcia? Dla osoby, która odgadnie lokalizację budynku, czeka nagroda niespodzianka. Czekam na informację od Was i życzę powodzenia!

Przemysław Markiewicz

TOWARZYSTWO MIŁOŚNIKÓW ZIEMI ŻŁOTORYJSKIEJ



Towarzystwo Miłośników Ziemi Żłotoryjskiej liczy sobie 36 lat. A każdy rok to wiele inicjatyw skierowanych do mieszkańców naszej Małej Ojczyzny. To kolejne wydania książek, broszur, widokówek i czasopism, to konferencje, i niezliczona ilość przebytych kilometrów podczas rajdów i wycieczek, to tysiące zdjęć, obrazów i różnych przedmiotów wyeksponowanych podczas wystaw.

Towarzystwo Miłośników Ziemi Żłotoryjskiej,
59-500 Żłotoryja, ul. Szkolna 1,
e-mail: tmzz@tmzz-zlоторija.pl, tel.: 57 125 4353

TMZZ zdobył tytuł
Laureata w VI edycji
konkursu zDolne NGO

Niektóre z przedsięwzięć zrealizowanych przez TMZZ w latach 2020 - 2023:

- ✓ XXV Rajd Jadwiżański w 2022 r.,
- ✓ Dwa filmy nakręcone w ramach Europejskich Dni Dziedzictwa w 2020 i 2021 r.
- ✓ XIV tom Biblioteczki Miłośników Ziemi Żłotoryjskiej pt. „Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze w Żłotoryi”
- ✓ XIX Powiatowy Dzień Regionalisty pod hasłem „Wilcza Góra wczoraj i dziś”
- ✓ Odbudowa Obelisku Ludzkiego Przemijania

- * OŚRODEK DOKUMENTOWANIA I OPRACOWYWANIA DZIEJÓW ZIEMI ŻŁOTORYJSKIEJ
- * ECHO ŻŁOTORYI
- * BIBLIOTECZKA MIŁOŚNIKÓW ZIEMI ŻŁOTORYJSKIEJ
- * ŻŁOTORYJANIE KLUCZEM PROWADZI WYCIECZKI
- * KLUCZ WROŚNIWIĄN
- * KLUCZ KOLEKCYJONERKA
- * RAJDOY I SKŁADAJ ŚW. JADWIŻY PRZEZ ŚW. WAWELIĄ

ECHO ŻŁOTORYI

GALERIA SPONSORÓW



Powiatowy Bank Spółdzielczy w Żłotoryi

Grupa BPS



Wilków Spółka z o.o.

PRODUCENT

konstrukcji stalowych
aparatury i urządzeń technologicznych
w tym dla ochrony środowiska
tymczasowych stacji paliw
elementów złącznych hydrauliki siłowej
sprzętu transportowego dla górnictwa
www.lena.com.pl
lenawilkow@lena.com.pl
tel.+48 768783 480, fax +48 76 8783 212



Wydawca: Towarzystwo Miłośników Ziemi Żłotoryjskiej

Adres redakcji: 59-500 Żłotoryja, ul. Szkolna 1 („Bacalarus”), www.tmzz.pl, e-mail: echozlоторija@tmzz.pl

Redakcja: Bogusław Cetera (dystrybucja), Beata Jańta (korekta), Jarosław Jańta, Marta Klonowska-Procków (korekta), Przemysław Markiewicz, Wioleta Michalczyk, Agnieszka Młyńczak, Iwona Pawłowska (redaktor naczelna), Tomasz Szymaniak, Andrzej Wojciechowski.
Zdjęcie na okładce: Robert Pawłowski - Krucze Skąły w Jerzmanicach-Zdr.

ECHO ŻŁOTORYI



Echo Żłotoryi jest laureatem Dolnośląskiego Klucza Sukcesu za 2013 rok

